Nr. 5. Lwów, dnia 1. Maja 1892. Rok XV.



PRENUMERATA ROCZNA: marek 5 złr., 5 rs. 12 franków.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

WYCHODZI z początkiem każdego miesiąca.

Z ŁOWIECKIEJ PRZESZŁOŚCI

napisał

Władysław Spausta.

II.

Koń dziki.

(Ciąg dalszy).

Gdyby nie tu i owdzie powtarzające się wzmianki o koniu dzikim, jako o zwierzęciu łownem w dawnych naszych ustawodawstwach krajowych, umieszczanie konia dzikiego w rzędzie zatraconej fauny łowieckiej byłoby może rzeczą niewłaściwą. Pomimo jednak, iż bardzo okruchowe doszły nas wiadomości o łowach na konie dzikie, zamieszkujące do tak późna naszą ziemię, zaprzeczyć się nie da, iż stanowić one musiały przedmiot łowiectwa, chociaż użycie mięsa końskiego w późniejszych już wiekach tylko do wyjątków należało, tem bardziej, iż nowa wiara wykorzeniała w narodzie rozmaite zwyczaje w pogaństwie praktykowane, bodaj tylko w tym celu, aby wtenczas, gdy wszystko niemal spoczywało na samej formie, nawet w sprawie wyżywienia w porównaniu z przeszłością położyć wybitne różnice.

Rozdział XIII. o polowaniu (w drugiem i trzeciem wydaniu X.) statutu litewskiego Zygmunta I. w artykule II. stanowi pomiędzy innymi także: „Ustawujemy cenę zwierzom dzikim, któreby przez kogo były ubite w cudzej puszczy.... Za konia albo kobyłę dziką 3 ruble groszy“. A prawo to powtarza się niezmiennie w późniejszych edycyach statutu w dziale X.: „o puszczę, o łowy, o drzewo bartne, o jeziora i sianożęci“.

Beauplan opisując Ukrainę powiada pomiędzy innymi: „Konie dzikie, chodzą po 50—60, nieraz nas trwogi nabawiając, gdyśmy je za Tatarów brali; w stadzie chowane na nic się nie przydadzą, a dzikie także niewiele warte. Mięso ich kruche, lecz podług mnie przykre nieco, przedają w jatkach jak wołowe i baranie; lud tutejszy smak jego korzeniami poprawia. Rogi kopyt tak im nogi ściskają, że biegać nieraz nie mogą, co jawnie opatrzność boską dowodzi, która konia przeznaczyła, by tylko człowiekowi służył do użytku jego“.

Niezliczone świadectwa, z których w rozmiarach niniejszej pracy li tylko ważniejsze naprowadzić jestem w stanie, mówią zbyt wyraźnie o istnieniu koni dzikich u nas, o istnieniu zwierząt jednokopytnych, wyglądem do domowego

konia zbliżonych, jeszcze w ostatnich czasach. Na zachodzie wszakże, nawet w Germanii, o której Pliniusz w księdze VII. Rozd. XVI. powiada iż: „*Septentrio fert et equorum greges ferorum*“, przez którą to „Septentrio“ Rzymianin głównie Germanię i Galią rozumiał, zatraca się już w 8-ym wieku naszej ery świadectwo pobytu tam konia dzikiego. Św. Bonifacy, przybywszy z Anglii do Niemiec północnych i apostołując w Fryzlandyi i Hessyi, spotkał tam zwyczaj spożywania mięsa konia dzikiego. Nawróconym do wiary Chrystusa mieszkańcom tych krajów wzbronił jedzenia mięsa końskiego. Na tem świadectwie dziejowem kończy się historya konia dzikiego w Niemczech i w ogóle na zachodzie, a jedynie tylko Dahlman w swem dziele *Geschichte von Dänemark 1840—43*“ wspomina o istnieniu w Danii dzikich koni w XIII. wieku.

Dzieje klasycznych krajów Grecyi i Italii, nic nie mówią o istnieniu tam kiedykolwiek w czasach historycznych dzikich koni, a historycy starożytności, jakoteż nieliczni przyrodnicy owej epoki, każą ich szukać w rozmaitych krajach mało znanych a przez barbarzyńców zamieszkałych. Podczas gdy Pliniusz, Leo afrykańczyk, Varro, Aelian wspominają o koniach dzikich na rozmaitych kresach ówczesnego świata znanego, najdawniejsze świadectwa o istnieniu dzikich koni znajdujemy w Herodocie, który umieszcza je nad rzeką Hypanis. Była to owa ultima Thulae starożytnych, kraj nad rzeką Bohem (Hypanis), Herodotowa Scythia, a później nasze Dzikie pola, Sicz niżowa i ziemia kozaków słobodzkich. Na tym od wieków utartym szlaku wędrówek narodów, znajduje dziejopis grecki stada białych, dzikich koni, co tembardziej zadziwia, iż maść konia dzikiego według świadectwa wieków wcale białą nie była. Że jednak nie pomylił się w swem podaniu ojciec historyi, że podobna odmiana mogła się znajdować, zdają się udowadniać nowsze badania, które białe odmiany dzikich koni wykryły na płaskowyżach Hindukuszu, a zarazem sprawdzono bielenie sierści do pewnego stopnia, zwłaszcza w porze zimowej, u dzikich tarpanów, w obecnych czasach w Azyi żyjących.

Nie wiemy prawie nic, jakie koleje przechodziły ziemie wschodniej Europy przez długi okres czasu, jaki od tej wzmianki Herodota upłynął aż do chwili, gdy po wielkiej wędrówce narodów i ustaleniu się bodaj częściowem ludów w ich sadybach, wychyla się Słowiańszczyzna z mgły dziejowej, gdy wreszcie na kresach wschodnich wielkiego cesarstwa średniowiecznego wytwarza się potężna naszych praojców społeczność. Mało wiemy o ludziach, którzy tu mieszkali a jeszcze mniej o stosunkach przyrodniczych tych ziem, zapełnionych na mapach starożytności jakimiś dowolnymi nazwiskami lub stanowiącymi kartę białą, o którą się nie bardzo troszczył świat klasyczny. Dopiero już późne chrześciaństwa wieki odkrywają, iż wśród tych społeczeństw, u których udomowiony koń odgrywał za czasów pogaństwa ważną rolę w liturgii — gdzie wyraźna cześć dla tego zwierzęcia utrzymała się nawet w obec nowej wiary, jak to udowadnia naiwna modlitwa Kaszubów do św. Mikołaja — gdzie bajeczne dzieje oddają koronę temu, który najlepszego posiadał konia, i gdzie cały naród niby do konia przyrósł i jak powiada autor „Historyi konia“ (Hr. Czapski), „w kulbace było zawsze Polakowi najmilej i najbezpieczniej, a wszędzie indziej stał często jak na szpilkach“ — znajdowały się w wolnej przyrodzie stada koni dzikich. które uczeni osobną nazwą ochrzcili. Jedni nazwali odmianę tę *equiferus*, drudzy *Equus silvestris*, podczas gdy koń domowy nazywał się *Equus caballus*. Zdaje mi się, że co najmniej jest stosowną nazwa *Equus silvestris*, gdyż wątpię, aby kiedykolwiek koń dziki mógł być zwierzęciem leśnem, przynajmniej udowadniają to poniekąd podziśdzień żyjące w Azyi konie w stanie natury, pokrewne koniowi dzikiemu rozmaitych odmian osły, jakoteż hypotygrydy tropikalnych stref Afryki (zebry, kwaggi), a niemniej zdaje się to samo udowadniać historya cymarronów, czyli koni zdziczałych w stepach południowej Ameryki, które, znalazłszy na powierzchni ogromnych Pampasów stosowne i odpowiadające przyrodzie swej warunki, rozmnożyły się w niezliczone stada.

Przeciwnie sądziłbym, iż koń dziki, przywiązany do stepu i pasz słonecznych, którego pokrewne gatunki piją dziś z największym smakiem słoną wodę jezior stepowych i spasają oryginalną tych miejsc przybrzeżnych wegetacyę, unikał zwartych i wielkich obszarów leśnych, ściągając się natomiast gromadnie w miejsca, gdzie się wolny step odsłaniał. Że pojedyncze osobniki spotykano wśród lasów, to jeszcze nie dowodzi, iż koń dziki należał do fauny leśnej, i że mu słusznie ów przymiotnik *silvestris* się należy.

Jakto już na wstępie do pracy niniejszej wspomniałem, był pewien okres czasu w epoce dyluwialnej, w którym ogromne stepy rozciągały się wzdłuż środkowej Europy. Prawdopodobnie spowodowały je ogromnych rozmiarów rewolucye liczne, rewolucye, które jeszcze i dziś obserwować można w pustyni azyatyckiej Gobi, a pomiędzy innymi i nad brzegami morza Bałtyckiego, na tak zwanej po naszemu Mierzei fryskiej na wschód od Gdańska (frische Nehrung). Masy mineralnych pyłów, gnane wiatrami, pogrzebują tam rokrocznie całe zadrzewienia, wsie, a mieszkańce zmuszeni są od czasu do czasu uciekać przed nawałą tą, która już w późnych czasach historycznych bardzo wiele znanych miejscowości pogrzebała. I tak n. p. wieś Pilichowa (Pillkoppen), dwa razy zupełnie zasypana, istnieje obecnie na trzeciem miejscu.

Że w naszych czasach rewolucye takie nie mogą swych działań posuwać głęboko wśród lądów, to łatwe do pojęcia; lecz wskazują one, iż wcale nieposlednim czynnikiem były wiatry w ukształtowaniu powierzchni ziemi wtenczas, gdy tylko zmienione warunki kosmiczne kłaść mogły zaporę dalszemu ich działaniu. W ostatnich czasach wytworzona teorya Richthofena o wielkiem znaczeniu siły prądów atmosferycznych w ukształtowaniu się szaty ziemi, teorya przyjęta przez wielką część przyrodników (Nehring, Tietze) i znajdująca coraz to więcej podstaw w dalszych badaniach, tłumaczy w części i objawy, jakie w geologicznej i historycznej przeszłości konia dzikiego spotykamy. Przypisywanie przeważnie wodzie w rozmaitych jej kształtach tych zmian, jakie zaszły w ostatnich czasach geologicznej przeszłości, nie mogło dostatecznie wyjaśnić objawów rozsiedlenia niektórych zwierząt dyluwialnych, o których paleontologia namacalne składała dowody. Dopiero najnowsza teorya o zapoznanej sile wiatrów i ich możliwem działaniu na powierzchni ziemi, a mianowicie o możliwości tworzenia się w ten sposób pokładów geologicznych na wielkich obszarach, rzuca nowe światło na pewne okresy dyluwialne i stara się wytłumaczyć istnienie pewnych gatunków zwierząt, w takich warunkach, w jakich istnienie to było możliwem. Nic też dziwnego, że gdy bardzo wiele świadectw dziejopisarzy mówi o przebywaniu koni dzikich nad brzegami morza bałtyckiego w owem paśmie, w którem za historycznych jeszcze czasów trwały rewolucye eoliczne, znajduje jenerał Przewalski dzikie konie (r. 1872) w stepowej naturze koło jeziora Kukunor na południu pustyni Gobi.

Z wielkiego kontynentu Azyi zaludniały oprócz koni, również i inne zwierzęta stepów kraje Europy wszędzie,

gdzie się tylko wytworzyły stosunki odpowiednie, a gdy z biegiem czasu powierzchnia ziemi się zmieniała, zwierzęta rozdzielały się topograficznie, i wielka część tychże długo jeszcze, otoczona nieprzyjaznymi wpływami przyrody, nie mogąc się cofnąć, degenerowała w kształtach, aż wreszcie zupełnej ulegała zatracie.

Najważniejsze świadectwa, jakie o istnieniu koni dzikich na ziemiach dawnej Rzeczypospolitej spotykamy, dotyczą prawie zawsze stepowych części kraju, jakkolwiek nie brak i takich, które za miejsca pobytu dzikiego konia podają lasy Litwy, lasy Prus, a nawet góry karpackie. (Rzączyński).

Mniej więcej w szesnastym stuleciu po naprowadzonej powyżej wzmiance Herodota o stadach dzikich koni nad Bohem, odgrywa się tam ciekawy dramat łowiecki, w którym prawdopodobnie jakaś resztka stad Herodotowych ma także przydzieloną rolę.

Włodzimierz Monomach na początku 12-go stulecia, „własną ręką po dziesięć i dwadzieścia dzikich koni łowi, tur dwa razy bierze go na rogi, jeleń bodzie zrzuciwszy z konia, łoś jeden nogami depce a drugi bodzie rogami, dzik wyrywa mu z boku miecz, niedźwiedź odgryza siodło przy kolanie, a drugi dziki zwierz rzuca mu się na biodra i powala z koniem, ale Bóg go zachowuje“ (Duchownaja Manomacha w dopełnieniu do III. tom. Historyi narodu rosyjskiego Polewoja. Pam. naukowy Kraków 1837 III. 337). (Monumenta Pol histor. Bielowski I. 878).

Czytając owe do śmieszności przesadzone historye łowieckie koronowanego myśliwca, owe straszne walki z dzikim zwierzem, który bez wyjątku jakąś szaloną miał na niego ochotę, jest się na straszne zakończenie przygotowanym, lecz końcowy nieprzewidziany dodatek zmienia wszystko, a zamiast zwykłej w takich razach katastrofy, w której w podaniach ludu wśród podobnych tragicznych zdarzeń najważniejszą rolę jedynie pozostałe buty bohatyra odgrywają, rzecz kończy się bardzo pociesznie, bo nietkniętym wychodzi Włodzimierz, aby przyjąć insygnia godności cesarskiej, jakie mu na znak równości składa potężne Bizancyum. Opisana scena okazuje, jakie mnóstwo dzikich koni zamieszkiwać musiało stepy Ukrainy na początku 12-go wieku, a mniejsza z tem, czy scena ta odbywała się nad starożytnym Hypanisem, czy też nad Borysthenem lub Thyrasem (Dnieprem lub Dniestrem), w każdym razie gdzieś na stepach żyznej Ukrainy lub Pobereża.

Gilbert de Lannoy w dziele, na które się już powoływałem w ciągu niniejszej pracy, tak powiada w opisie miasta Trok: „Także w rzeczonem mieście Trokach jest zwierzyniec ogrodzony, w którym są wszelkiego rodzaju zwierzęta dzikie i zwierzyna jaką mieć można w lasach i pochodzi łoś z nich.... także wielkie konie, zwane osłowate, i jest tam koni dzikich dość“.

Lecz łatwo się domyśleć, skąd się wzięły w ogrodzie Witołdowym dzikie konie. Bohatyr Litwy, który na koniu przepłynąwszy do pół szerokości Dniepru, tutaj z wykrzykiem „póty moje!“ zaznaczył orężem granice swych posad, łatwo mógł posiadać w swym zwierzyńcu mieszkańców stepów ukraińskich. Można jednak przypuszczać, iż dzikie konie w trockim zwierzyńcu utrzymywane pochodzić mogły i z Litwy lub Żmudzi, że owa „Letuwa“ czyli ziemia dżdżysta, na której się ścierał wpływ klimatu morskiego północno-zachodniej Europy z klimatem lądowym północnego wschodu, stała się w późnych już czasach historycznych schroniskiem rozbitków fauny stepowej Europy, która w pewnym okresie czasu aż po brzegi Atlantyku się rozciągała. W szczególności mogła odpowiadać jako tako przyrodzie dzikiego konia część środkowej Litwy, rozsiadła na wielkim dziale wód, owa „Auxtote“ Litwinów, czyli ziemia wysoka. Zresztą, nie posiadając dokładnych opisów ówczesnych koni dzikich, nie możemy zarazem wiedzieć, czyli nie znajdowały się pomiędzy nimi odmiany znoszące warunki przyrody leśnej i niskie lub podmokłe położenia. Rasa koni żmudzkich, istniejąca jeszcze tu i owdzie na Litwie i Żmudzi, może być żywem świadectwem niedawnego jeszcze pobytu jakiejś odmiany dzikich koni na tych ziemiach i jest może wyrodzonem, udomowionem jej pokoleniem, za czem zdają się przemawiać cechy, kształty i własności tych koni, odróżniające je od wszelkich innych ras w Europie istniejących.

Dalsze świadectwa o dzikich koniach podaje Gratianus de Burgo w opisie podróży kardynała Comendoniego po Polsce, niemniej świadczy ten autor o istnieniu dzikich koni w zwierzyńcu księcia Alberta pruskiego w Królewcu: „które się po wielkich borach pruskich i żmudzkich błąkają, a są zwierzęta małe i niepozorne, niezdatne pod wierzch i do pociągu i polują na nie dla mięsa“. (Niemcewicz).

Za panowania Zygmunta Augusta pisał Miciński, koniuszy stad królewskich w r. 1570 „O świerzopach i ograch“, w którem to dziele wspomina i o dzikich koniach, podając sposób ich ułaskawienia. Ułaskawienie jednak (twierdzi wspomniany autor) na nic się nie przydało, bo pomimo, iż dzikie konie łączyły się z końmi ras chowanych, liche płody krzyżowań znaczyły się w pokoleniach. Łatwo zrozumieć, iż krew dzikich, nieuszlachetnionych koni, najniekorzystniejszy musiała wywrzeć wpływ na ów wysoko uszlachetniony i starodawnej kultury ród koni, jakie u nas na dworach królów i magnatów utrzymywano, i które podczas panowania Zygmunta Augusta, prawdziwego miłośnika szlachetnych stad, do szczytu swego doszły.

Już w r. 1133, za panowania Bolesława krzywoustego, znaczy się ślad pierwszych szlachetnych stadnin, które osobliwie w Wielkopolsce rozszerza Kazimierz Wielki (Naruszewicz Histor. narodu pol. VII.). Na wzór królów i magnatów ogół szlachty według możności utrzymywał szlachetne konie. Wprawdzie mówiło przysłowie narodowe, że „niejednego konie zjadły“ lecz pocieszano się znów innymi przysłowiami: „niejednemu koń naniósł“ „dobrze to, komu się konie wiodą i żony“ lub „komu się konie darzą a żony, ten nie żebrze chleba i utrzymywano po nad ekonomiczną możność stada szlachetnych rumaków. O rozmiarach tej hodowli niejakie wyobrażenie dać może świadectwo Stanisława Gorskiego, kanonika krakowskiego, według którego Zygmunt August jeszcze za życia ojca, mieszkając na Litwie, takie mnóstwo koni utrzymywał, iż na ich dzienne wyżywienie 400 korcy owsa potrzebował, z czego wnosić można, iż stada te liczyć musiały przeszło 4000 sztuk.

Nie miejsce tu zatrzymywać się dłużej nad hodowlą szlachetnych koni w Polsce, której owoce wykwitły na gruncie wiekowej i z prawdziwem zamiłowaniem prowadzonej pracy kulturnej, rozszerzając po całym ówczesnym świecie sławę polskiego konia; podnieść wszakże należy fakt, iż do owej sławy polskiego konia nie przyczynił się bynajmniej dziki nasz autochton, lecz wytworzyła ją praca i wrodzone zamiłowanie w tym kierunku chodowców, którzy sprowadzając z dalekich krajów Arabii, Turcyi, Persyi a nawet z wyspy Kandyi rozpłodników, zdołali ugruntować w stadach krajowych wysoko szlachetne przymioty ich krwi, przymioty, które jeszcze podziśdzień wzbudzają podziw obcokrajowców.

Wiadomość o dzikich koniach, zawarta w dziele Micińskiego, wskazuje, iż w późnych już czasach historycznych starano się wprowadzić krew dzikich koni w uszlachetnione stada, i że prawdopodobnie na wzór stadnin królewskich może niejeden tego próbował. Niefortunne te wszakże doświadczenia udowadniają, iż koń nasz pierwotny domowy gubi się gdzieś wraz z naszą historyą w mgle przeszłości i że był albo w bardzo dawnej starożytności udomowionym koniem dzikim, oddalonym w czasach historycznych niezbyt od swego dzikiego pobratymcy skutkiem wpływów hodowli, albo wprowadzony został do Europy z owych dalekich krajów, gdzie i naszej szukać trzeba kolebki.

Przytaczając świadectwa co do istnienia koni dzikich na ziemiach naszych, niepodobna pominąć naturalisty Rzączyńskiego. Powiada on, że konie dzikie jeszcze w 18. wieku miały się znajdować w zwierzyńcu zamojskim, skąd je wreszcie rozdarować miano chłopom okolicznym, widząc, że do niczego użyć się nie dają. Wpływ tych zwierząt znaczył się teraz pomiędzy końmi chłopskimi i w późnych czasach jeszcze był widoczny. Również Vanozzi, odwiedzający w imieniu legata Gaetaniego stajnie Zamojskiego, widział tam konia dzikiego.

Podczas gdy słynny Buffon utrzymywał, iż dzikich koni w Europie całkiem już niema, drukował T. Czacki w dziele swem o litewskich i polskich prawach w r. 1800 wydanem, w przypisku do art. II. Rozdz. XIII. „nie upłynęło lat 30 jak konie dzikie widywano w lasach litewskich“. Wiadomość ta, pochodząca od męża tej wiary, polegać musiała na jakiejś podstawie, jakkolwiek trudno uwierzyć, aby w czasach owych jeszcze utrzymywać się mogły rzeczywiście dzikie konie. Prawdopodobnie wiadomość ta dotyczy koni zdziczałych, i byłaby łatwą do wytłumaczenia, gdyby nie nowa wiadomość o dzikich koniach w puszczy białowieskiej, podana przez barona Brinckena we wzmiankowanym już opisie puszczy.

W r. 1824 powiada autor: „Ostatnie dzikie konie, które w tej dziewiczej uchwycono puszczy, umieszczono w zwierzyńcu ordynata Zamojskiego, gdzie je dość długo z inną utrzymywano zwierzyną, lecz że z nich żadnego nie miano użytku, przeto je przed 20 laty (zatem w dziewietnastym stuleciu) wyłowiono i włościanom rozdano“. Maść tych koni miała być siwo-myszatą z pręgą czarną na grzbiecie.

Rzeczywiście zdumiewać się trzeba nad obojętnością dla spraw przyrody w tej tak niedalekiej przeszłości. Konie te, gdy się okazały nieużytecznymi, rozdarowano włościanom, nie pozostawiając żadnego z nich śladu, bodaj choćby w jednym wypchanym egzemplarzu, a jednak chwila wyłowienia tych „ostatnich dzikich koni“, które cechami swymi tak mocno zwracały uwagę współczesnych, iż je aż w zwierzyńcu magnata umieszczono, była niemniej ważną w historyi fauny europejskiej, jak ongi relacya komisyi lustracyjnej o puszczy jaktorowskiej.

Pominąłem tutaj bardzo wiele świadectw o istnieniu konia dzikiego, będąc skrępowany rozmiarami pracy, na jakie miesięcznik łowiectwa polskiego zezwala, więc w krótkości tylko dodam, iż nić świadectw o dzikim koniu na ziemi naszej wlecze się bezustannie tak u obcych jak i u naszych autorów w ciągu dziejów naszej ziemi, i urywa się, jak to widzimy, dopiero w niedalekiej przeszłości.

Niemal wszyscy o dzikim koniu na ziemiach polskich prawiący autorowie zgadzają się mniej więcej na to, iż było to zwierzę właściwie do niczego niezdatne, co więcej podnoszą objaw, nie powtarzający się zresztą w wolnej naturze, iż konie te częstokroć podpadały okaleczeniu odnóży przez niestosunkowy odrost kopyt w porównaniu do zużycia tychże, co znów niektórym daje pochop do prawdziwie rozpaczliwej dedukcyi, jakoby zwierz ten biedny li tylko dla niewoli i usług człowieka był przeznaczonym. Inni znów twierdzą uporczywie, iż wszystkie konie tak zwane dzikie, są właściwie tylko końmi zdziczałymi, u których po ustaniu wpływów hodowli wyrobiła się w ciągu wieków ta ułomność organiczna.

A jednak niezliczone stada tarpanów, onagrów, dżigetajów, zeber, kwag bujały i bujają do dziśdnia jeszcze po swych rodzinnych stepach, niezliczone, bo na tysiące urosłe stada potomków hiszpańskich koni zamieszkują jako t. z. cymarrony, rozległe stepy Ameryki — i nigdzie nie można dopatrzeć tego objawu okaleczenia nóg, jakiemu miały ulegać dzikie konie w Polsce. Anektowana dla rozmnoży konia Ameryka, w której podczas jej odkrycia wcale koni nie było — pomimo, iż istnieć one musiały w starożytności, jak to kopalne szczątki tego zwierzęcia dowodzą, — stała się prawdziwem gniazdem koni, a w sto lat po zamachu Ferdynanda Corteza na państwo Montezumy, posiadała już Ameryka na swych stepach tyle koni co Europa.

Lecz niech nas nie zadziwiają oryginalne zapatrywania autorów starszych, którzy w dzikim koniu nie widzieli nic pożytecznego dla człowieka, któremu nietylko koń był obowiązany dawać swe usługi, bo inaczej musiał okaleczeć, lecz dla którego i słowik wyłącznie nucił swoje trele, na którego usługi jednem słowem cała natura zdawała się być stworzoną — bo i w najnowszych czasach spotykamy się, i to w specyalnych dziełach o koniu, z zupełnie podobnymi wyobrażeniami. Mimo dowodów, pochodzących jeszcze ze zeszłego stulecia o istnieniu konia kopalnego, konia należącego do ubiegłych epok geologicznych, w których się wcale nie dadzą wykazać szczątki istnienia człowieka, znajdujemy w literaturze fachowej już ostatnich lat dziesiątków wyraźne zaprzeczenie tej prawdzie, a koń według naiwnego twierdzenia tych autorów, powstał gdzieś jakby *deus ex machina*, tak, iż zwierzę to chyba wyłączyć należy od ogólnych praw, jakie kierują wszechświatem. Tak np. jeszcze dr. Löffler w specyalnej swej Encyklopedyi konia (Tom III. str. 1.) wie najdokładniej, iż Stwórca tylko dla użytku człowieka stworzył konia, a o istnieniu konia kopalnego autor w roku 1866, gdy wydał swe dzieło, nic zgoła nie zdaje się wiedzieć.

Co do kalectwa nóg, powodowanego niestosunkowem odrostem kopyta w porównaniu do jego zużycia, jeżeli podawaną tę okoliczność mam brać na seryo, sądziłbym, iż przyczyny tego szukaćby należało w nieodpowiednich dla przyrody konia stosunkach klimatu i terenu, w jakich go czasowo zamknęły zmienne globu koleje. Zwierz, uposażony od przyrody kończynami twardymi, usposobiony do przebiegania nieraz wielkich obszarów spaloną trawą pokrytego stepu, aby zdobyć sobie konieczną żywność, skazany do wygrzebywania kopytem z pod warstw lodu i śniegu swą żywność — musiał degenerować, gdy zupełnie inne zapanowały stosunki. Na otwartem polu płoszony, szukał ochrony w lasach i tu znajdował niewłaściwą wprawdzie, ale aż nazbyt dostatnią żywność, pod nogami jednak grunt miękki, często podmokły, niezużywający do tego stopnia kopyt, jak to ma miejsce na suchym stepie i przy zwiększonym ruchu.

Zniknięcie jakiegoś gatunku zwierząt na kuli ziemskiej poprzedza zawsze degeneracya tychże, idąca coraz dalej

w miarę zmiany warunków ich egzystencyi, aż wreszcie wybija chwila ostatecznej zagłady. W resztkach jakiejkolwiek fauny, zamkniętej w ciasnych i niezupełnie odpowiednych jej granicach, zaczynają oprócz wpływów gleby i klimatu, działać także szkodliwe wpływy czysto fizyologicznej natury, o których właściwem znaczeniu dały nam niejakie wyobrażenie badania największych przyrodników ostatnich czasów.

(C. d. n.)

Z zimowych wspomnień.

Gdy powiew cieplejszego wiatru poczyna spędzać z gór „białe pleśnie", gdy skowronek, wzlatując rankiem ku słońcu, poczyna siać z góry dźwięki swej pieśni — gdy żywa pliszka, trzęsąc ogonkiem, przelatuje od kałużki do kałużki — doczyna wtedy krzątać się i rolnik, bo nadszedł czas, w którym ziarno wiosennych zasiewów potrzeba już powierzyć matce ziemi i zwrócić całą uwagę i siły, aby wraz z budzącą się ze snu przyrodą, rozpocząć na nowo gospodarskie znoje.

Ten czas wiosennego zrównania dnia z nocą, powołujący do zdwojonej czynności pilnego rolnika, jest zarazem czasem wspomnień dla myśliwego. Zawiesiwszy na kołku broń, z którą przed niewielu dniami, jeszcze na ostatnich śniegach, potykał się ze zwierzem, ma on zupełną swobodę oddać się rozpamiętywaniu wypadków i wrażeń minionego sezonu.

Śniegi już zeszły, niema mowy o tropieniu, więc sztuciec dokładnie wyczyszczony wisi na swem miejscu, a słonek jeszcze niema, więc i śrótówka i jej pan zażywają spokoju. Nie dziw zatem, że w tym martwym okresie myśl łowca wraca mimowolnie wstecz i pieści się wspomnieniem rozkosznych chwil, spędzonych wśród kniei, przybranej w srebrną zimową szatę.

Daruj mi więc, łaskawy czytelniku, że i ja sięgnę pamięcią do wspomnień mojej krótkiej, bo ledwie piętnastoletniej łowieckiej przeszłości.

Będąc zamiłowanym myśliwym, a do tego gastronomem w łowieckich sprawach, oddaję się zawzięcie, gdy tylko śnieg zawita, wyłącznie prawie polowaniu na dziki, przenosząc te żmudne łowy, wymagające sił, wytrwałości, a nieraz i nadtawienia własnej skóry, nad tuzinkowe polowania, których rezultatem bywa nieraz pokaźna wprawdzie liczba zajęcy i kozłów, lecz gdzie nie ma tego uroku, jakim się każde prawdziwie łowieckie serce tylko w spotkaniu z grubym zwierzem rozkoszuje.

Już nadzwyczaj wiele wdzięku posiada dzik, wyparty pogonką na linię strzelców, lecz zdaniem mojem, szkoda każdego dzika zabitego przed naganiaczami, bo dopiero przy psach zwierz ten okazać się umie w całej wspaniałości i grozie, dopiero polując z psami przekonać się można, c dzik potrafi i co wart jest strzał do niego. Tyle obrazów,o tyle wrażeń, tyle sylwetek psów i dzików z polowań tego rodzaju przesuwa się w pamięci mojej w chwili gdy to piszę, że nie mogę się oprzeć pokusie skreślenia choć jednego epizodu...

* * *

Ponowa! Ten czarowny wyraz dla każdego myśliwego! Srebrnopióra bogini raczyła wreszcie pewnej grudniowej nocy objąć w swe ramiona skostniałą ziemię, strojąc bezlistne drzew konary srebrnymi puchy i ścieląc u stóp ich miękkie kobierce dla serdecznej łowieckiej dziatwy.

Ponowa! I raport z lasu, że w „Średnim Garbie" obległy dwa dziki. To jak dla łowieckiego serca aż nadto, aby usłyszawszy tę wesołą wieść, zerwać się na równe nogi i być w kwadrans gotowym do wyjazdu do kniei.

Seńko, leśny — typowa postać chłopa kłusownika, średniego wzrostu i wieku, suchy, krzepki, nigdy nie zmęczony, z wierną towarzyszką, kapslową pojedynką przez plecy — stoi na ganku i przestępując z nogi na nogę, spogląda niecierpliwie, kiedy wyjdę, a tymczasem, jak spostrzegam przez okno, polecił z własnej domyślności zaprządz do prostych sani, które właśnie zajeżdżają.

Jestem już gotów. Dryling, nóż, trąbka i kilka ładunków w kieszeni składają moje uzbrojenie. Wychodzę Seńko kłaniając się aż do ziemi raportuje. Dwa dziki grube, prawdopodobnie odyniec z lochą, weszły w buczynę, tu pożerowały lecz mało, bo to pora lochania; stąd rozpoczęły długi spacer po lesie, wyszły do sąsiedniego rewiru, lecz na szczęście wróciły i obległy w „Średnim Garbie", w znanej mi już z najlepszej reputacyi kępie, gęstej jak mur młodej jedliny, gdzie je Seńko obciął i zaklina się, że „Bih me" obydwa będą za godzinę leżeć na saniach. Naturalnie podzielam ten jego animusz i nadzieję, i siadamy na sanie, za którymi biegną na sforach dwa kundysy, „Rozbój" i „Żmija" i gończak klasyczny „Śpiewak", wszystko troje weterani z łowów na dziki, wszystko troje pocięte i poszyte, z licznymi pamiątkami po całem ciele, uzbieranymi w mnogich zapasach „mit dem schwarzen Prinzen" naszych rewirów. Mimo tych licznych blizn psiaki nie tracą animuszu i przeczuwając, że dążą na nowe boje, kręcą wesoło ogonami i w wiernych ślepiach czytać można zapał i niecierpliwość.

Śliczna ta nasza ziemia w tej swojej swieżutkiej sukience zimowej! Tyle już o tem pisano i powiedziano, że wbrew ochocie nie zatrzymam się już dłużej nad wdziękami mojej półgodzinnej sanny i odeszlę łaskawych czytelników do ich własnych wspomnień i poczucia piękna w przyrodzie.

U rogatki, zamykającej drogę do lasu, czekał drugi egzemplarz Seńka, gajowy „Dmytro", który sprawdził ponownie, że dziki nie wyszły dotychczas z obciętego miotu.

Kilometr pieszej wędrówki dzieli nas jeszcze od ostoi dzików. Przestrzeń tę przebywamy śledząc na śniegu ilość zwierza, który na tej białej karcie zapisał świeżo swą obecność i robimy wnioski co do widoków polowania w poczynającym się dopiero sezonie.

Pieski, jakby zgadując myśl naszą, zajęte również pilnem obwąchiwaniem każdego tropu, napinają się na sforkach, rade by pójść za sarnami, lecz dziś czeka je pełniejsze chwały zadanie, bo oto „Średni Garb" czerni się już przed nami.

Dziki obcięte króciutko, ledwie w pięciu do sześciu morgach gęstego młodnika, którego środek stanowi kępa zwartej młodej jedliny, gdzie dziki zwykle zakładają barłogi. Cały ten miocik jest to dość stromy pagórek, leżący w widłach głębokiego potoku i wsunięty między dwa podobne sobie pagórki, skąd nazwa „Średniego Garbu".

Dziki w miocie. A więc *mot d'ordre* następujące: Seńko z psami na tropy wchodne od góry. Psy puścić, samemu stać w tropie i pod żadnym warunkiem w miot do głosu nie podbiegać. Dmytro z tem samem zastrzeżeniem staje na wekslu, nad jednem z ramion potoka. Ja na dole w samych widłach, na dobrze mi znanym przechodzie, zostawiając sobie jednak wszelką swobodę działania na własną rękę wedle okoliczności.

Podobne rozporządzenie, że jednemu tylko z myśliwych wolno podchodzić do ostanowionych dzików, jest nadzwyczaj ważnem przy polowaniu tego rodzaju, bo usuwa możliwość postrzelenia, o co wcale nie trudno, gdy kilku naraz myśliwych podkrada się z różnych stron do tego samego, przez psy osaczonego dzika.

Stajemy. Któż z braci myśliwych nie zna tego miłego uczucia, jakiego doznajemy, stojąc przed miotem, w którym jest skonstatowana obecność grubego zwierza? Uczucie to potęguje się jeszcze, jeżeli myśliwemu danem było, zarządzić polowaniem wedle swej własnej woli. W tym wypadku i ja byłem w tej chwili.

Tysiączne myśli krzyżują się w głowie jak błyskawice. A może lepiej było inaczej stanąć? A może dziki przejdą bez strzału? A może psy potną? A może się i uda? Animusz łowiecki, ambicya, aby się udało, wiara w swój własny nóż myśliwski, chwilowe zwątpienie, to znów bujna fantazya kotłują w głowie i podniecają bicie serca.

Lecz cicho... Rozbój bąknął raz grubo. W tej chwili wszystko wraca do porządku. Wola i zimna krew panują nad nerwami. Powstrzymując oddech, stoję jak posąg, z palcem na cynglu mego trzylufka.

Tymczasem tam w środku kipi już na dobre. Rozbój naszczekał dziki chwilkę w miejscu, lecz gdy przyszły mu w pomoc Żmija i Śpiewak, dziki ruszyły ku dołowi, a za nimi psie trio, dobierające sobie w tej chwili akordów w mem sercu.

Słyszę ten cały koncert nad sobą. Dziki, nie spiesząc się bardzo, idą niestety ku Dmytrowi. Namyślam się, czy nie biegnąć w środek, wtem padają dwa strzały, a następnie trzask, łomot, i dwie czarne góry staczają się o kilkanaście kroków koło mnie, w szalonych susach do potoku.

Strzelam do pierwszej sztuki z ekspresa, dzik ruluje jak zając, psy wpadają na niego, chcę poprawić do drugiej sztuki, lecz nim mam czas ściągnąć cyngiel, dzik chowa mi się za załom potoku. *Adieu!* myślę sobie. Psy szarpią i szamocą się z ogromną dogorywającą lochą, nadbiega zdyszany Dmytro i zdaleka zaklina się, że jedna sztuka po jego strzałach utknęła. W tej chwili ukazuje się Seńko, który dodaje, że spotkał na tropie silną farbę. Zaczynam być trochę niekontent, lękając się spółki co do samury, lecz oprócz mojej kuli w karku, zupełnie nietknięta. Idziemy na trop drugiego dzika i tu mi się humor zupełnie poprawia, bo wbrew twierdzeniu Dmytra, który utrzymuje, że mierzył „w samyj żywit", konstatujemy, że dzik ciągnie lewy tylni skok i młóci nim jak cepem, farbując obficie. Stąd nadzieja, że nie jest jeszcze daleko, i że psy dojdą go i osadzą.

Każę oderwać natychmiast psy od samury, co nie obeszło się bez trudu, i zostawiwszy poległego dzika na opiece Seńka, biorę psy na sfory i ruszam wraz z Dmytrem za śladem postrzałka. Odprowadziwszy psy ze trzysta kroków, puszczamy je i dążymy sami za nimi.

Dzik, któremu podróż na tricyklu nie musiała być bardzo wygodną, wybierał miejsca rzadsze i równiejsze, przeszedł mimo tego dwa potoki i dopiero w dobry kwadrans towarzysz mój nadsłuchując rzekł do mnie:

— Czuty psy, ałe aż na „Żydiwskim".

„Żydowskie", nazwa, która zapewne obiła się o uszy niejednego z kolegów myśliwych, napotyka się bardzo często w wielu z naszych rewirów, jako pamiątka bytności naszych współobywateli mojżeszowego wyznania.

Mówi wprawdzie galicyjsko-niemieckie przysłowie „*Jud bringt Glück und Geld*" — lecz mimo tego ten rodzaj „*Schwarzwildu*" nie zawsze miłym bywa dla myśliwego, który z całego serca radby go nieraz z kniej swych usunąć.

W tym wypadku „Żydowskie" był to dziesięcioletni porąb olchowy, nisko położony, zarosły ogromnymi trawami. Gdzieniegdzie wśród młodej olszyny znajdowały się tam wilgotne dołki, zarośnięte łozą i iwiną, tak gęstą i zwartą, że oko napróżnoby się siliło przeniknąć taką kępę.

Wyszedłszy na szczyt pagórka, skąd trop dzika i psów spuszczał się znów ku dołowi, usłyszałem już i ja dalekie naszczekiwanie w miejscu i przekonałam się o słuszności twierdzenia Dmytra. Rzeczywiście dzik postrzelony, dopadnięty przez psy, skrył się gdzieś w żydowskim zrębie i jakto zażarte naszczekiwanie wskazywało — postawił się psom.

Stanąłam chwilkę, by wytchnąć. Czekała mnie najbardziej interesująca i przejmująca chwila polowania. Dzik postrzałek, przez psy ścigany i rozdroczony, nie jest nigdy przeciwnikiem, któregoby lekceważyć można. Dobrze jeszcze, jeżeli w ostatecznem spotkaniu użyć można kuli, lecz czasem psy rozżarte strzelić nie dadzą, a wtedy kordelas wyjść musi z pochwy. — Jest to zawsze poważna chwila, wymagająca nadzwyczajnej przytomności umysłu, chwila rozkoszna, którą odczuć i zrozumieć potrafi tylko prawdziwe łowieckie serce.

Serce to biło w tej chwili jak młotem. — Z odległości około czterystu kroków dolatywało mnie wściekłe ujadanie mojej trójki. Obtarłem śnieg z luf, przekonałem się, czy dryling nabity, popróbowałem, czy nóż wychodzi lekko z pochwy, i razem z Dmytrem zaczęliśmy przedzierać się za głosem do miejsca walki.

Jak z góry przypuszczałem, dzik wybrał na miejsce rozprawy z psami jedną z kęp wyżej wspomnianych. Pokrzyżowane gałęzie łozy i iwiny, z zeschłym, przeszłorocznym liściem, dziki chmiel spinający się od dołu aż ku górze, i gęstwa dołem kolczatych ożyn, czyniły z tego kłąbu rodzaj naturalnej fortecy, którą z taką załogą, jak rozjuszony odyniec, trzeba było zdobywać.

Psy moje, osaczywszy dzika w tym forcie, biegały naokoło naszczekując zawzięcie, a gdy który śmielszy stawał się natarczywszym, zaraz słyszeć się dawało kłapanie i fukanie dzika, który, nie opuszczając schronienia, skakał wewnątrz ku psom, a poruszając równocześnie łodygami chmielu, trząsł od góry do dołu tą naturalną altaną, zsypując za każdym takim atakiem tumany śniegu, który na gęstej plecionce chmielów i ożyn obficie zawisnął, kryjąc zupełnie co się wewnątrz działo.

Już od chwili staliśmy z Dmytrem z obu stron tej kępy, tuż przy samym prawie dziku, wypatrując napróżno-

miejsca do strzału. Nic absolutnie zobaczyć nie można było, tylko psy, zachęcone ciągłem naszczuwaniem i ośmielone naszą obecnością, poczęły atakować zażarciej i rozlegała się muzyka prawdziwie piekielna, a przecież tak miła dla myśliwskiego ucha. Sapanie rozjuszonego odyńca, który kłapiąc szablami, szarżował na psy, łomot łamanych gałęzi, zażarte i aż ochrypłe głosy psów, pobudzonych do wściekłości — wszystko to składało się na niezrównany koncert, któregośmy słuchali z bijącem sercem, a jednak zupełnie spokojni i z palcem na cynglu.

Widząc, że nic nie dojrzę i że dzik nie da się wyparować, kazałem Dmytrowi strzelić z drugiej strony na wiatr.. Trzask — łomot — i nagle, jak pocisk wyrzucony z działa, wypadł o dwa kroki odemnie zjeżony jak góra odyniec. Już miałem ściągnąć za cyngiel, gdy nagle jeden z moich kudłatych towarzyszy stanął mi na przeszkodzie. — Dzik pomknął naprzód, ale w odległości kilkudziesięciu kroków postawił się psom na nowo, a widocznie był do tego mimo chęci zmuszony, bo na tropie leżały gęsto „pióra“ jako dowód, że pieski nie próżnowały.

Dopiero teraz użyć mogłem w pełni rozkosznego widoku.

Na malutkiej halawce, przyparty tyłem do spróchniałego pniaka, stał olbrzym odyniec zjeżony i zapieniony z błyszczącem ślepiem. Na śnieżnem tle wydawał się czarny jak dyabeł, tylko potężne szable błyszczały już zdala. Z odległości najwyżej trzydziestu kroków przypatrywałem się temu, mając wszystko jak na dłoni. Dzik oparty o pień, kłapiąc, prychając i sapiąc, jak lokomotywa, szarżował ku „Śpiewakowi“ i „Rozbojowi“, które mu niemal w sam ryj szczekały. Każdą chwilę takiego ataku wyzyskiwała skwapliwie „Żmija“, by mu za każdym razem wyrwać z szarawarów całe pęki kudłów. Odyniec tedy, jak gdyby był umieszczony na stałej osi, zwracał się jednym rzutem cały ku niej, nastawiając tem samem delikatne swe części zębom „Rozboja“, który tylko zdawał się czekać z upragnieniem tej chwili. Dzik wtedy, rozwścieczony do ostateczności, przypuszczał ślepy atak w którymbądź kierunku i znowu nagłym zwrotem opierał się o pień, by za chwilę na nowo cały ten manerw powtórzyć.

Tyle piękna i grozy jest w takim obrazie, tyle stron nowych odkrywam w nim za każdym razem, że żałowałem nieraz, iż nie umię pędzlem oddać tej nieporównanej sceny, którą piórem tylko bardzo niedostatecznie da się opisać.

Już chwilę stałem, spoglądając na powtarzany ciągle, wśród piekielnego hałasu, manewr dzika z psami, i nie mogłem strzelić. A strzelić trzeba w takich okolicznościach dobrze, bo zwykle psy po strzale rzucają się na zwierza, który, jeżeli ma siły jeszcze ku temu, strasznie zwykł się mścić na swoich prześladowcach.

Nie mogąc z mego stanowiska dojść do strzału, postąpiłem parę kroków w lewo, przyczem sucha gałąź trzasła mi pod nogą. W tej chwili dzik mnie ujrzał; ustało na chwilę sapanie i kłapanie, a w maleńkich ślepiach zaświecił jakiś blask piekielny. Sekundę stał nieruchomy, fiksując mnie wzrokiem — i nagle, nim zdołałem przeniknąć jego zamiary, ujrzałem na dwa kroki przed sobą potworny łeb.

Ci, którzy byli w tem miłem położeniu jak ja w tej chwili, wiedzą, z jak błyskawiczną szybkością odbywa się szarża dzika i jak mało czasu zostaje do namysłu. *Coute que coute!* Strzelić trzeba było koniecznie. Ściągnąłem cyngiel... Dzik ryknął straszliwie, wspiął formalnego dęba i runął na wznak.

Uskoczyłem na bok, a tymczasem psy wpadły na wściekle miotającego się zwierza. Nagle jeden z nich z jękiem bolesnym wyleciał w powietrze na kilka łokci w górę, wyrzucony gwałtownem uderzeniem racic i w tej chwili ujrzałem dzika, siedzącego na zadzie. „Rozbój“ i „Śpiewak“ harcząc wisiały mu u uszu... Dzik próbował wstać parę razy, lecz jakoś mu to nieszło... Dwa pchnięcia kordelasem rozstrzygnęły na naszą korzyść tę walkę. Dzik wyrzucił strumień krwi z ryja, kłapnął kilka razy bezwiednie szablami, przez chwilę młócił wściekle skokami, potem coraz słabiej, coraz słabiej — chrapnął parę razy i leżał martwy przed nami.

Łyknąłem z manierki dobrze zasłużony haust wódki i potrąbiłem kilkakrotnie „pojezdnego“. Echa trąbki odbiły się aż hen daleko — daleko, w debrach podkarpackich, otrząsły pył srebrny z wierzchołków szumnych jodeł i skonały gdzieś aż u stóp św. Huberta, który zapewne w tej chwili łaskawie spoglądał na swego gorącego wyznawcę.

Od tej pory rok minął.

Hej, gdzie moje pieski?! „Rozbój“ zakończył waleczny żywot pod kłami rozjuszonego odyńca, „Śpiewaka“ i „Żmiję“ sprzątnął ktoś łaskawy, praktykujący bez dyplomu szlachetny sport, którego adepci zwykle nie palną bronią się posługują.

Gdybym był starożytnym Germanem, tobym wierzył, że pieski moje ujrzę kiedyś jeszcze w Wallhali, gdzie podobnoś psi łowcy wstęp mają stanowczo wzbroniony.

* * *

Podobne sceny z dzikami, jak wyżej opisana, przebyłem w krótkim moim zawodzie myśliwskim niejednokrotnie. Niejeden z Czytelników „Łowca“ przebywał je także, a w takim razie odnajdzie w tym nieudolnym opisie i kilka własnych wspomnień i daruje mi, żem może nadużył jego cierpliwości.

Może być, że znajdzie się i taki, który powie, że można było znacznie zwięźlej opisać powyższe fakta. Można było n. p. zanotować: „Otropiono dwa dziki, pojechałem do lasu i do południa zabiłem obydwa. Napiłem się wódki i powróciłem do domu, gdzie zjadłem smacznie objad“ i t. d.

Zapewne, że byłaby to także zgodna z prawdą relacya, a polując z pogonką możebym i sam nie znalazł więcej jak tych parę słów do powiedzenia. Zastrzegłem się jednak, że jestem myśliwym, który nie kocha łowów dla rzezi i mięsa, ale dla piękna i wrażeń, który nie szuka w polowaniu koniecznie mordu, lecz cieszy się, gdy może samotnie odetchnąć wonią lasów i w cichości podpatrzyć jakąś tajemnicę przyrody, ujrzeć zwierza i poznać go tak, jak on jest „u siebie“ — i stąd ów przydługi może opis, do któregoby mi rysów i barw żadne polowanie z nagonką nie dostarczyło.

Nowe Miasto w kwietniu r. 1892.

Aleksander Przedrzymirski.

Polowanie z wyżłem na ptaki.

Z własnych doświadczeń

podał

Seweryn Kisielewski.

III.

Na kuropatwy.

I myśliwy i rolnik lubią poczciwą naszą kuropatwę. Jest bo to kurak piękny, i okazujący w ruchach tyle wdzięku i zwinności, iż pod tym względem żaden może inny z naszych ptaków mu nie dorówna. Kuropatwa nadaje też życie naszym niwom, tak dalece, iż gdzie kuropatw nie ma, tam pola i łany, chociażby pokryte w całości kłosami złocistej pszenicy, stają się jednostajnie puste. Dlatego sądzę że tak, jak ogrody publiczne upiększamy ozdobnymi krzewami, należałoby wszystkie nasze pola i łąki przyozdabiać kuropatwami, nietylko z pasyi myśliwskiej, lecz jeszcze bardziej w poczuciu piękna przyrody.

Choć kuropatwa jest dziś w naszym kraju ptakiem dość rzadkim, a bez wątpienia godnym trudów łowca, zaliczaną bywa mimo to, tylko do łowów niższych, jak się zdaje z przyczyny, że ją niegdyś bardzo łatwo zbobyć było można. Dlaczego właściwie twierdzą myśliwi, osobliwie starzy, że kuropatwa należy do bardzo łatwych zdobyczy myśliwskich, tego nie wiem; co do mnie przekonałem się przeciwnie, że wyszukanie kuropatw w miejscach, gdzie nawet często się ukazują, nie należy bynajmniej do zadań łatwych, albowiem już je wyszukawszy, potrzeba jeszcze bardzo często wielkiego trudu i ze strony myśliwego i wyżła, aby je na średni strzał dostać. A jeśli stadko było już kiedykolwiek przedtem płoszone, to nie da się podejść w żaden sposób, zmienia miejsce bardzo szybko, zrywa się za daleko i ciągnie na taką odległość, że nawet na równinie z oczu całkiem znika. Gdyby więc odemnie zależało, nie wahałbym się ani chwili zaliczyć kuropatwę do łowów średnich, tembardziej, że i koronowane głowy już dziś nie gardzą polowaniem na tego ptaka, uważając je jako przyjemne i sprawiające dużo emocyi.

Prawda, że nasi przodkowie mogli zaliczać kuropatwy do łowów niższych w czasach, kiedy je łowiono wyłącznie sieciami, bo nie było to wcale sztuką podsypać przynętę, a następnie nakryć siecią całe stadko. Dziś jednak, kiedy żaden porządny myśliwy z „rozjazdem“ już nie poluje i używa sieci wyłącznie do wyłapywania kuropatw w celu przezimowania, należy ubicie kilku, lub kilkunastu kuropatw, mimo doskonałości wszelkich „dianek* i „trzylufków“, do zadań niełatwych.

Do dziś jeszcze uchodzi między niektórymi myśliwymi za nieomylny następujący aksyomat: „Skoro ubijesz starkę, rozbija się natychmiast całe stadko, tak, że potem, biorąc każdą sztukę pojedynczo, możesz całe stadko wybić do nogi“. Być może, że to było prawdą w owych czasach, kiedy ludzie strzelali na wojnie i na polowaniu z gardłaczy i szturmaków. Jednak dziś, niech mi wybaczą wszyscy myśliwi, od których ten aksyomat słyszałem, że mimo wszelkiego uszanowania dla tradycyi, pozwolę sobie o nieomylności jego powątpiewać.

Przedewszystkiem przekonałem się niejedokrotnie, że prawdziwym wodzirejem w stadku nie jest starka, lecz stary kogut. A potem przepis ubijania starki, nietylko mnie, ale każdemu myśliwemu naszych czasów musi się wydać naiwnym, bo któryż myśliwy jest w stanie w stadku, porywającem się z wielkim szumem i rwetesem, rozpoznać w momencie starkę od kuropatw młodych? Gdy nadto weźmie się na uwagę i wzruszenie, jakie bez wyjątku prawie każdego myśliwego, na widok porywającego się stadka, ogarnia i przez pewną chwilę oprócz hurmy kuropatw, nic innego odróżnić nie pozwala, to nie trudno będzie osądzić, że owa, za nieomylną uchodząca myśliwska doktryna, nie ma żadnej podstawy.

Można wprawdzie na pierwszy rzut oka rozpoznać starką od młódek, ale tylko w czasie, kiedy młode kuropatwy są jeszcze znacznie mniejsze od starej i nazywają się po myśliwsku „farbówkami“. Któż jednak strzela do takich kuropatw? Z pewnością nie myśliwy. Przypuściwszy wreszcie, że znajdzie się taki mistrz, co potrafi przy pierwszem zerwaniu się starszych kuropatw, wybrać i ubić starkę w śodku stadka, to cóż to pomoże, gdy przy stadku pozostanie stary kogut, znany przez myśliwych, jako sędziwy i doświadczony wódz stadka? On to, uchodząc na czele stadka, wykonywać będzie marsze flankowe i kontramarsze, i wyprowadzi armię z niebezpiecznego położenia.

Bywa zresztą i tak, że ubicie jakiejkolwiek kuropatwy sprowadza rozbicie się stadka, lecz przytem podrzędną jest rzeczą, czy ubita była starką czy młódką, bo inne wpływają na to okoliczności. O ile mnie się zdaje, rozbicie następuje tylko wtedy, jeżeli stadko kuropatw, ruszone z miejsca, dłuższy czas ucieka i nagle ujrzy się zagrożone z przodu; wtedy dzieli się prawie zawsze na dwie części, które ciągną w różnych kierunkach. Gdy potem tak rozdzielone kuropatwy zapadną, nie trzymają się już wszystkie kupy, lecz gdzie która może, ukrywa się pojedynczo. Nie jest to zapewne regułą, ale przeważnie tak się dzieje.

Na dowód niech posłuży następujący przykład:

W roku 1879, bedąc w Bełzcu, polowałem na kuropatwy i natrafiłem na stadko, składające się najmniej z dwudziestu sztuk, które, zerwawszy się za daleko, zapadły na pobliskiej ścierni. Mając ze sobą wyżła, na którego zupełnie spuścić się mogłem, wszedłem na ścierń z taką pewnością, jak gdyby mi wyżeł znosił już kilka sztuk kuropatw i miałem nadzieję, że na tej ścierni przynajmniej dwie sztuki będę mógł ubić. Niestety, zawiodłem się, bo kuropatwy musiały już być przez kogoś innego strzelane i miały się bardzo na baczności.

Zaledwie pies wbiegł na ścierń, stanął zaraz, wcale przedtem nie sygnalizując; ja zaś, będąc pewnym, że pies już się nie ruszy, dopóki doń nie przyjdę, nie spieszyłem

się, przez co nie przyszedłem do strzału. Nie żałowałem jednak mojej powolności, gdyż miałem sposobność obserwować, w jaki sposób i w jakim porządku całe stadko uchodziło. Gdym się do psa zbliżył i kazał mu iść dalej, przysiadł wprawdzie, lecz pospieszał dość szybko, z czego domyśliłem się, że kuropatwy uchodzą. Upomniawszy psa po raz drugi: „Lekko!“ rzuciłem okiem przed niego i zobaczyłem w oddaleniu 70—80 kroków, jak kuropatwy, idąc łańcuchem obok miedzy bruzdą, uciekały w następującym porządku: Przodem szedł stary kogut, a rozpoznałem go, gdyż od czasu do czasu przystawał i podniósłszy głowę do góry, oglądał się po za siebie; za nim szło to pojedynczo, to po dwie sztuki obok siebie, całe stadko, a tylną straż składały dwa koguty młodsze, które także co chwila się zatrzymywały i tak samo z podniosionymi głowami oglądały się po za siebie. Tak biegnąc, wyszły kropatwy ze ścierni na jakąś pustą polankę wśród pól, którą bardzo szybko przebiegłszy, weszły na rolę. Na polance nie zachowywały już wyż określonego porządku, lecz biegły niejako w równej linii, bądź zbite w kupę, bądź też rozstrzelone.

Dla uniknięcia zarzutu niedokładności muszę tu nadmienić, że wszystkie kuropatwy szybko uciekając, trzymają zawsze głowy do góry podniesione i tylko wtedy, gdy zwolna wykradają się z jakiegoś niebezpiecznego miejsca, uskuteczniają ucieczkę chyłkiem. Jedynie szpica i straż tylna podnosi od chwili do chwili głowy do góry, aby obserwować ruchy nieprzyjaciela.

Mimo, iż kuropatwy podczas kursu zmieniły po dwakroć kierunek biegu, nie mistyfikował, ani też nie okładał wyżeł ani razu, będąc siebie pewnym, wietrzył je bowiem górą i szedł ciągle w kierunku, którędy uciekały. Dopiero gdy kuropatwy za daleko się oddaliły, i brakło mu wiatru, spuścił „pompę“ na dół i postępował ciągle za ich śladem.

Gdym się znalazł z wyżłem na roli, powtórzyło się to samo. Z początku pies stanął nastawiwszy „pompę“ do góry, ale za chwilę potem spuścił ją ku ziemi i zaczął w pochylonej postawie posuwać się naprzód. Pospieszając za wyżłem o jakie czterdzieści kroków, przeszedłem cały kawał świeżej oraniny i spostrzegłszy, iż przy końcu tej roli pies już nieco gorączkował i bałamucił, zacząłem przypuszczać, że kuropatwy pozostały w roli. Wtem, szczególnym trafem, zobaczyłem jednę na drugim kawałku ścierni, leżącym po za rolą, za którym w dali widniał łan ziemniaków. Lecz już i pies nie próżnował, bo obłożywszy, trafił na poszlak i poszedł w tym samym kierunku, gdzie tę jednę kuropatwę widziałem.

Ponieważ, idąc w tropy za kuropatwami, uszedłem na ścierni i roli już co najmniej półtora do dwóch kilometrów, zacząłem powątpiewać, czyli kuropatwy pozwolą mi zbliżyć się na strzał. Zmieniłem przeto taktykę polowania i zawołałem na psa aby zaczekał. Gdy pies stanął, oddaliłem się od niego w bok o jakie 200 do 300 kroków i okrążywszy miejsce, gdzie mniej więcej przypuszczałem, że kuropatwy być mogą, zacząłem iść w prostym kierunku od ziemniaków do wyżła, który stał nieporuszony na miejscu, gdzie mu czekać kazałem. Rozglądając się pilnie na wszystkie strony, uszedłem tak ze 100 do 200 kroków i natrafiłem w końcu na kuropatwy, które, burknąwszy przedemną w odległości czterdziestu kroków, rozdzieliły się na dwa stadka, tak, iż na jednę stronę odleciało sześć do ośm sztuk, a reszta na drugą. Strzeliłem zatem dwa razy, lecz ubiłem tylko jednę sztukę. Była nią młódka, a nie starka. Po strzałach pociągnęły kuropatwy dalej i zapadły w ziemniakach, gdzie strzelałem do porywających się już pojedynczo i jeszcze kilka sztuk ubiłem.

Innym razem, gdym dla próby polował z dwoma dobrze utresowanymi psami, zawsze się stadko kuropatw zrywało, gdy uciekając przed jednym psem, natrafiło w swej ucieczce na drugiego — i wkrótce także się rozbiło.

Podobnych wydarzeń miałem w życiu mojem kilkanaście, i za każdym razem przekonałem się, że stadko kuropatw, naciśnięte z przodu, zawsze się zrywało i prawie każdym razem rozbijało się nawet bez strzału. Czasem zdarzyło mi się zawrócić kuropatwy i napędzić na wyżła, przed którym, ujrzawszy go, zrywały się na dwadzieścia kroków. Tak samo się działo, gdy polując z drugim myśliwym, wzięliśmy stadko między siebie. A więc pokazuje się, że starka ubita, lub przy życiu zostawiona, nie wpływa bynajmniej ani na rozbicie stadka, ani na trzymanie się tegoż przy kupie.

Trafiało mi się dość często i to, że chodziłem pół dnia za kuropatwami, a mimo to, nie udało mi się strzelić ani razu, gdyż kursowały bardzo szybko i porywały się za daleko bez względu na okoliczność, iż je okrążałem i brałem między siebie i wyżła. Widać zatem, że polowanie na kuropatwy wymaga wiele trudu i użycia sprytu na spryt, w skutek czego nie można go wcale bagatelizować. Jak zaś kuropatwy umieją uciekać, wie o tem każdy myśliwy; można je pędzić przed sobą czasem dwa i trzy kilometry.

Wspomniałem powyżej, że kazałem wyżłowi stać na miejscu, i mogę zaręczyć, że rozkaz ten ściśle był wykonany. Mam i teraz wyżła, który zostawiony gdziekolwiekbądź w polu, zostaje na rozkaz w miejscu dopóty, dopóki nie wrócę, nie świsnę, lub nie strzelę. Przy polowaniu na kuropatwy jest taka tresura psa niezmiernie ważną, zwłaszcza wtedy, gdy się poluje w pojedynkę, gdyż właśnie chodzi o to, aby kuropatwy obciąć i na stojącego psa je zawrócić.

Również koniecznem jest utresować wyżła tak, aby umiał wietrzyć górą i dołem, bo w takim razie poradzi sobie zawsze, niełatwo zgubi wiatr i nie będzie nigdy myśliwego mistyfikował. Każdy, kto polował na kuropatwy, przyzna zresztą, iż to jest jedyne pole, na którem wyżeł może i musi okazać wszystkie swoje zalety, bo inaczej, zamiast naprawić, popsuje wszystko, a wtedy nie wart nazwy wyżła. Wszak i chłopski kundys, uganiając po polu, potrafi spłoszyć kuropatwy, ale to nie dosyć. Na polowaniu na kuropatwy rozchodzi się najgłówniej o to, aby je nie zawcześnie spłoszyć, gdy są w stadku, bo wystawianie i płoszenie pojedynczych sztuk, już po rozbiciu się stadka, nie należy wcale do trudnych zadań tresury.

Każdy dobry wyżeł powinien z reguły, szczególnie podczas polowania na kuropatwy, wietrzyć zawsze górą, a skoro je tylko zwietrzy, winien zaraz stanąć i nie ruszać z miejsca, czy kuropatwy są blisko, czy daleko. Dopiero gdy dostanie rozkaz, aby poszedł dalej, powinien ruszyć naprzód i pospieszać tylko o tyle, o ile wymaga konieczna potrzeba, aby wiatru nie zgubił. Nie wolno mu wszakże pod żadnym warunkiem gonić. Którędy zaś ma iść, to mu wskaże jego nos. Należy więc zostawić psa wtedy samemu sobie, gdyż jeśli zwietrzył kuropatwy z miejsca, gdzie one jeszcze nie przechodziły, to w takim wypadku pójdzie z podniesioną mordą do góry, w kierunku prostym tam, skąd go woń doleciała. W przeciwnym razie spuści mordę na dół i będzie szukał miejsca, gdzie przebiegały, a wyszukawszy je, pójdzie pochylony za stadem. Jeżeli w trakcie tego zacznie okładać, to trzeba zostawić mu to do woli, ponieważ, jeśli

stadko nie było jeszcze strzelane, uda mu się nieraz okrążyć je i wystawić. Gdy zaś idzie ciągle w prostym kierunku, to nie powinno się go powstrzymywać, tylko należy, jeżeliby szedł za ostro, mitygować go wyrazem: „Lekko! lekko!“ Skoroby nie mógł odszukać śladu, albo idąc ostro zgubił go, a myśliwy sam spostrzegł uciekające kuropatwy, to najlepiej zrobi, jeżeli wyżła przywoła do nogi i podprowadziwszy go w miejsce, gdzie uciekające kuropatwy widział, każe mu w tem miejscu szukać. Wtedy można być już pewnym, że pies po raz drugi śladu nie zgubi, lecz będzie czołgał się formalnie na brzuchu dopóty, dopóki kuropatw nie dojdzie.

Kuropatwy mają zwyczaj, że ubiegłszy 100 do 200 kroków przystają, czy to w celu obserwowania ruchów myśliwego, czy też może w mniemaniu, że już uniknęły niebezpieczeństwa. Spotkawszy na drodze ucieczki jakiś krzaczek, większą kupkę trawy lub chwastów, kryją się, zbijając się w kupkę jedna przy drugiej, i wtedy wytrzymują tak, iż można zbliżyć się do nich na kilka kroków. Skoro się rozbiją, kryje się każda osobno, ale nie na długo, bo jak tylko która upatrzy stosowną chwilę, ucieka zaraz dalej i wraca w to samo miejsce, skąd całe stadko zostało ruszone. Najbardziej dotrzymuje stara kuropatwa, co ma przy sobie jeszcze pisklęta, albo zielonki (pałczaki), tak dalece, iż kijem trudno ją odpędzić. Gdy wszakże widzi się już bardzo zagrożona, to zrywa się wprawdzie, lecz o kilka kroków dalej pada kamieniem na ziemię i używa fortelu, udając, że jest uszkodzona; rozpościera skrzydła i bije nimi po ziemi, ale nie wzlatuje, tak, jakby nie była w stanie. Przytem wydaje ze siebie taki przeraźliwy „cięgot“, iż się zdaje, że nie pochodzi on z jej chęci, lecz jest wyrazem wielkiego bolu. Tymczasem to wszystko jest udane i ma ten jedyny cel, aby odciągnąć nieprzyjaciela od miejsca, w którem młode pozostały.

W podobny cokolwiek sposób, jak kuropatwa przy pisklętach, zachowuje się także i kogut, gdy stojąc na straży w pobliżu gniazda, zostanie znienacka przez psa, lub człowieka zaatakowany.

O jednym i drugim fakcie miałem sposobność przekonać się tylko jeden raz w życiu, jednak nie wątpię, że zazwyczaj dziać się tak musi, bo kuropatwa odznacza się szczególnem przywiązaniem do swych młodych. Od pewnego myśliwego, któremu można było wierzyć, słyszałem, iż widział, jak kuropatwa w obronie piskląt toczyła zażartą walkę z wroną i mimo widocznej przewagi, jaką wrona ma nad kuropatwą, przecież ją zwyciężyła i odpędziła.

Komu więc wydarzyłoby się na polowaniu zobaczyć kuropatwę, zachowującą się w sposób wyżej opisany, ten niechaj będzie pewnym, że to matka piskląt, lub najwyżej zielonek. Kto zaś spostrzeże podczas polowania, iż wyżeł stanął w jakiemś miejscu tak twardo, że prawie nie można go zmusić, aby ruszył naprzód, to również bardzo dobrze zrobi, jeśli pierwej popatrzy, co jest przed psem, nim rozkazem „Piff!“ zmusi go wreszcie do skoku. Łatwo bowiem zdarzyć się może, iż wyżeł, skoczywszy w środek młodego stadka kuropatwiego, schwyci i zdusi zielonkę, która do strzału jeszcze się nie nadaje. A karać go za to nie można, ponieważ wypełnił tylko rozkaz, aby chwytał i brał.

Wiadomo wszystkim szanownym braciom w Hubercie, iż wyżeł ma ogromną pasyę do polowania na ptaki w ogóle, więc powiem tu jeszcze tylko tyle, że pasya ta dochodzi u dobrego wyżła do punktu kulminacyjnego podczas polowania na kuropatwy. Jest ona większą nawet, niż pasya kłusowników do polowania na sarny i zające, bo kłusownik nie wytrzymałby tego, gdyby go ktoś z tyłu atakował i dotkliwie znieważał, a wyżeł, idący śladem kuropatw, i to potrafi znieść z lekceważeniem.

Następujący fakt niechaj to udowodni.

W roku 1882 bawiłem w górach między Hucułami, gdzie miałem sposobność zapolować na kuropatwy. Łaskawym czytelnikom nie będzie obcą ta okoliczność, że chata od chaty w owych górskich okolicach odległą jest o 2 do 3 kilometrów. Te zaś chaty czyli koleby, które znajdują się na tak zwanych „carynach“, gdzie tylko pasterze, lub też właściciele pól podczas roboty w polu czasowo zamieszkują, oddalone są jedne od drugiej na kilka kilometrów.

Otóż jednego razu, polując w pobliżu takiej „kołyby“, trafiłem na niewielkie stadko kuropatw, liczące dziesięć do dwanaście sztuk i zaraz poszedłem za niem w tropy, postępując ślad w ślad za wyżłem. Niedaleko „kołyby“ ciągnął się zagon kukurudzy, obok którego zobaczyłem uciekające kuropatwy, a chcąc im przeciąć drogę do ucieczki, oddaliłem się w bok od wyżła, aby je okrążyć. Odchodząc, nie dałem mu żadnych wskazówek, bom widział, że idzie dobrze. Lecz podczas tego przybiegł leżący okok „kołyby“ chłopski kundys i zaczął naszczekiwać, a widząc, iż ja oddaliłem się od wyżła już około siedmdziesiąt kroków, zbliżył się doń pędem i bez ceremonii zaatakował go dotkliwie z tyłu, żądając w tak brutalny sposób legitymacyi prawa polowania na gruntach jego chlebodawcy. Pomimo, że go ów murga na punkcie psiej ambicyi czynnie podrażnił, nie obejrzał się nawet mój wyżeł, tylko ściągnął sygnał pod siebie i szedł dalej w takich samych prysiudach jak przedtem. W mniemaniu, że trafił na tchórza, powtórzył kundys swój atak i porządnie mego wyżła uszczypnął. Lecz i to skutku nie odniosło. Wyżeł nie dał się zbić z tropu, tylko rzucił okiem na mnie, jakoby chciał powiedzieć: „Broń mię, bo ja jestem bardzo zajęty“. Widząc, że kundys nie myśli odstąpić, przyłożyłem strzelbę do twarzy z zamiarem posłania mu kilku śrutów. Ale ponieważ on doskakiwał co chwila do mojego wyżła, więc z obawy postrzelenia własnego psa, zaniechałem tego zamiaru, wydając równocześnie mojemu psu rozkaz: „Nie daj się!“ Zaledwie wyżeł to usłyszał, obrócił się tak szybko, iż kundys nie miał nawet czasu odskoczyć na bok, bo już go wyżeł porwał za kark, potrząsł nim silnie i odrzuciwszy na bok, poszedł bezzwłocznie znowu za kuropatwami w takiej samej postawie, jak to zwykł był czynić, gdy do czegoś ściągał. Po tej odprawie poszedł kundys jak zmyty, narzekając po drodze na niegrzeczność pańskich wychowanków.

W kilka chwil po tem zajściu, wystawił wyżeł kuropatwy, które przy końcu zagona przystanęły. Gdy się całe stadko zerwało, strzeliłem dwa razy i ubiłem dwie sztuki. Lecz tylko tyle stadko to widziałem, ponieważ znikło mi za pagórkiem, gdzie odszukać go nie byłem już w stanie, nie wiedząc, w którym kierunku pociągnęło i gdzie zapadło.

W okolicach górskich dzieje się tak zazwyczaj. Jeżeli zatem który z myśliwych chce ubić więcej sztuk, to wybiera się na polowanie po południu. Przyszedłszy w miejsce, gdzie kuropatwy zwykle przebywają i wyszukawszy stadko, strzela, a gdy mu się po strzale stadko wyszukać nie uda, powraca ku wieczorowi na to samo miejsce, gdzie kuropatwy po raz pierwszy ruszył, staje lub siada w ukryciu i zaczyna wabić. Skoro kuropatwy są blisko, odezwą się zaraz, jeśli dalej, to odpowiedzą na wabienie trochę później; w końcu jednak przybiegają prawie zawsze, to pojedńczo, to po dwie sztuki naraz, jeśli stadko było poprzednio rozbite. Tylko takie stadko, któremu żadnej sztuki nie odstrzelono, odpowiada na wabia

rzadko kiedy, lecz mimo to wraca na miejsce, skąd zostało ruszone, ponieważ jest to właściwością kuropatw, że wracają zawsze w miejsce, gdzie zwykle przebywają. Gdy zwabione kuropatwy są już blisko, myśliwy strzela je z ukrycia, lub okrążywszy, zmusza do poderwania się i strzela w lot.

Dodaję tu, że najlepszym wabikiem na kuropatwy, jest wabik kościany. Konstrukcya jego jest całkiem pojedyńcza. Jest to kostka cylindrowa o średnicy dwóch do półtrzecia cmtr., mająca długości cztery do pięć ctmr., wewnątrz wydrążona. Jeden otwór pokryty jest mocno wyciągniętą irchą, w środku której znajduje się mała dziurka. Przez tę dziurkę z wierzchu, ku środkowi wydrążenia kostki, przeciąga się kilka nitek końskiego włosienia, które na jednym końcu związane są na węzeł, tak, żeby ten węzeł zatrzymywał się na dziurce, znajdującej się w samym środku irchy. Całość wabika przedstawia się poniekąd tak, jak mały bębenek, pokryty skórą tylko z jednej strony.

Z instrumentu tego, acz na pozór bardzo pojedyńczego, nie potrafi nikt, kto nie jest wtajemniczony, wydobyć jakiegokolwiek dźwięku, lecz ręka umiejętna wywoła zeń głos tak łudząco podobny do głosu kuropatwy, że i najwprawniejsze ucho myśliwego nie potrafi w tym głosie odróżnić naśladowania od natury. Użycie tego instrumentu jest bardzo proste. Oto bierze się rzeczoną kostkę lewą ręką, przytrzymuje wielkim i wskazującym palcem, a włosień okręca około ręki, lub kładzie między resztę p lców lewej ręki i zostawia tylko jedną wiszącą nitkę włosienia. Następnie ślini się wielki i wskazujący palec prawej ręki, ujmuje wiszący włosień w poślinione palce i pociąga szybko z góry na dół. Ruch ten sprawia, że włosień, prześlizgując się przez palce, i wywołując swem drzeniem fale głosowe w kostce pod bębenkiem irchy, wydaje głos, któremu każda od stadka odbita kuropatwa takim samym głosem odpowiada. Głos ten da się określić mniej więcej słowem: „Cierp! cierp!“

Takim głosem wabią się wszystkie kuropatwy bez wyjątku. Niejaka różnica w głosie kuropatw daje się zauważyć tylko wtedy, gdy młoda kuropatwa, ciągnąc za odlatującem stadkiem, zostaje się trochę z tyłu. Widocznie z powodu osłabienia i z obawy, aby ją stadko nie zostawiło, wydaje ze siebie wówczas głos przestrachu i rozpaczy, który brzmi drząco i da się poniekąd wyrazić przez: „Cieriń“.

Na sposób powyżej opisanego wabika, sporządzają chłopi kłusownicy wabik na kuropatwy z łupiny włoskiego orzecha, przewierciwszy jedną połówkę łupiny i przewlokłszy przez dziurkę kilka włosieni. Jednak głos, jaki z tego prymitywnego instrumentu wydobyć można, jest słaby i chrypliwy, tak, iż wątpię, czyli kuropatwy takim wabikiem dadzą się zwabić.

Ze wszystkich naszych rodzimych ptaków łownych, które dzielą z nami niedolę zim ostrych i zawalnych, potrzebuje najbardziej kuropatwa umiejętnej ochrony. I nie ma zapewne ani jednego myśliwego, któryby nie uznawał, że należy ochraniać i jeszcze raz ochraniać to miłe biedactwo, nie mogące ani lotem, ani sprytem ratować się przed dybiącymi nań wrogami. A jest tych wrogów także nie mało, że wspomnę tylko o najgłówniejszych, jak lis, jastrząb i chłop, nietylko kłusownik z powołania, ale nawet każdy inny, nie umiejący, a raczej nie chcący uszanować cudzej własności.

Powiedziałem ochraniać! Dobrze. Ale jak? W tem sęk. Przez ochronę nie rozumię bynajmniej nie strzelania kuropatw latami, bo to nie wiele pomoże, ale zabezpieczenie ich przed wspomnianymi rabusiami, a to p r z e z z a k ł a d a n i e r e m i z w ś r ó d p ó l.

— Bardzo to pięknie — odpowie niejeden skrzętny i rachunkowy rolnik — ale pytanie, czyli roczny zysk z ubitych kilku, kilkunastu, lub kilkudziesięciu kuropatw, zrównoważy stratę tego kawałka ziemi, który jako remiza będzie leżał odłogiem? Słuszna uwaga. Więc, ażeby tego uniknąć, należy utrzymywać i sadzić tu i owdzie na miedzach krzaki tarniny, głogu i tp. Te nie wiele będą kosztowały, nie wiele zajmą miejsca, a mimo to staną się dla kuropatw schroniskiem, gdzie ani jastrząb, ani lis już im nic nie zrobi. Twierdzenie to opieram na własnem spostrzeżeniu, ponieważ miałem raz sposobność widzieć, jak całe stadko, zaatakowane przez jastrzębia, skryło się w takie tarniny i zaszyło się tam tak głęboko, iż ani ja, ani mój wyżeł wyparować go stamtąd nie zdołaliśmy. Z wielką biedą udało mi się wytrącić nogą dwie sztuki, poczem skłuty aż do krwi, zmuszony byłem odstąpić i zostawić je w spokoju.

Podczas zimy zawalnej, gdy tarniny takie zostaną zawiane, ściągają się kuropatwy bliżej ludzkich mieszkań, zajmują w posiadanie ogrody chłopskich zagród i tulą się kupkami do stodół i chlewów. Niektórzy właściciele polowań, chcąc uchronić kuropatwy od tych niewygodnych i bardzo niebezpiecznych, wiejskich etapów, wyłapują je sieciami, a przezimowawszy, wypuszczają z wiosną parami na wolność. Jakkolwiek w zasadzie przeciw takiemu postępowaniu nie mam nic do zarzucenia, nie będzie mimo to od rzeczy wspomnieć także o ujemnych stronach tej łowieckiej gospodarki.

Po 1-sze. Przy wyłapywaniu i przezimowaniu kuropatw w klatce, lub w stosownej izbie, ubywa prawie zawsze parę sztuk, które przy nakryciu siecią zostają mocno uszkodzone, albo też później stają się ofiarą własnej nierozwagi, bo na widok człowieka zrywają się do lotu i giną, uderzywszy główką o pułap, ścianę i tp.

Po 2-gie. Wiadomo każdemu, kto zimował kuropatwy u siebie, że one, w stosunkowo bardzo krótkim czasie, oswajają się do tego stopnia, iż jedzą nawet z ręki podane im pożywienie. W takiem oswojeniu kuropatw nie byłoby jeszcze nic złego, gdyby kuropatwa, puszczona po przezimowaniu na wolność, stawała się ponownie bardzo dzika i płocha. Tymczasem tak nie jest. Skoro kuropatwa była przez dłuższy czas w towarzystwie człowieka i dobrze jej się powodziło, to na wiosnę, gdy jej raptem braknie wygody, do jakiej już przywykła, trzyma się chętnie w pobliżu siedzib ludzkich, gdzie łatwiej o żer obfity. Będąc już na pół oswojona, ściele śmiało gniazdo w pierwszym lepszym ogrodzie i uważa się tam jako zupełnie zabezpieczona od drapieżników. Tymczasem, gdy ją chłop obaczy, to gniazdo niezawodnie pójdzie już na marne, bo chociażby nawet nie miał zamiaru jej przeszkadzać i tylko zbytnią ciekawością wiedziony, trawy i chwasty około gniazda poruszy, to kuropatwa spostrzegłszy to, na zawsze gniazda się odrzeka. Sam widziałem parę razy gniazda kuropatwie w chłopskim ogrodzie i znam fakt, że kuropatwa wylęgła młode pisklęta wśród podwórza u chłopa, pod chlewem, zbudowanym na podwalinach i nic sobie z tego nie robiła, że pies dzień i noc biegał po podwórzu i szczekał.

Jeżeli zaś kuropatwa, przezimowana pod dachem ludzkiego mieszkania, wylęgnie młode w polu, lub krzakach, nawet daleko od mieszkań ludzi, to po największej części zaraz z początkiem jesieni zbliża się do zabudowań, mięsza się z kurami i wchodzi z całą swoją rodziną do stodoły lub chlewu. Gdy tam wejdzie, to z całej tej rodziny nie uratuje się pewnie ani jedna sztuka, bo chłop, zatrzasnąwszy drzwi, żadnej nie wypuści. Wprawdzie i całkiem dziko wychowana

kuropatwa może paść ofiarą takiej zasadzki, ale już rzadziej, bo jest więcej płocha.

Widziałem także, jak kuropatwy, podczas jednej z ostrych zim, pobudowały sobie w oddaleniu pięćdziesięciu kroków od chłopskich chat formalne katakomby w śniegu, aby się dostać do oziminy, służącej im za żer w tych przykrych chwilach postu. Mimo takich trudności wyżywienia się, wyglądały zdrowo i rzeźko, z czego widać, że potrafią przebyć na wolności najostrzejszą zimę.

Do sposobu ochraniania kuropatw, zaliczam także strzały, i z tego powodu pragnę tu o strzelaniu do kuropatw nieco obszerniej pomówić.

Dziwnem się wyda szukanie ochrony w strzelaniu, lecz pytam, czy to nie jest ochroną, jeżeli nie będziemy strzelali w środek porywającego się stadka, gdzie rzadko kiedy jednę sztukę ubić, a kilka postrzelić można? Mnie się zdaje, że tak. Dlatego zaklinam wszystkich polujących na kuropatwy, aby w środek stadka nigdy nie strzelali.

Czyż nie jest to ochroną, skoro myśliwy, skazując kuropatwę na śmierć, będzie mierzył i strzelał tak, ażeby ją nie kaleczył, lecz położył trupem na miejscu?

Zarzuci ktoś, iż nie ma na kuli ziemskiej takiego strzelca, któryby był w stanie każdym strzałem trafić zwierzynę śmiertelnie. Prawda, lecz w mocy jego jest starać się, ażeby jak najrzadziej ranił i powinien się o to starać.

W tym celu potrzeba przedewszystkiem:

Po 1-sze. Sporządzić ładunki tak, aby strzał był ostry, to jest, użyć tyle prochu i śrutu, ile wymaga jesienny ładunek na zająca, ponieważ kuropatwa jest dość twarda do zabicia i potrzebuje nietylko celnego, ale i ostrego strzału. Nie myślę jednak doradzać tem samem sporządzania ładunków według starego przysłowia: „Garścią syp, garścią będziesz zbierał“, bo dobra broń i dobry strzał nie znoszą żadnej przesady, a gdyby kto nasypał garścią np. prochu bezdymnego, to niezawodnie zamiast kuropatw, zbierałby garścią szczątki lufy i krew płynącą z nosa.

Po 2-gie. Nie strzelać dalej, jak na pięćdziesiąt kroków. Jakkolwiek warunek ten zawisł od jakości broni, to przecież każdy przyzna, że łatwiej jest trafić celnie na pięćdziesiąt, niż na ośmdziesiąt kroków. Twierdzę przeto stanowczo, iż wszystkie strzały do kuropatw na odległość ośmdziesięciu kroków, są przeważnie szkodliwe, ponieważ w takiej odległości trafiona kuropatwa nie znaczy wcale, tylko leci tak, jakby była zupełnie chybiona i ginie bez pożytku dla myśliwego.

Po 3-cie. Starać się zapanować nad wzruszeniem, jakie każdego myśliwego na widok porywającego się stadka ogarnia, a mierzyć i strzelać dopiero wtedy, gdy zimna krew już wróci.

Po 4-te. Celować do kuropatwy zawsze w główkę, jeśli leci na bok. Skoro zaś ma się strzelać za nią, to należy wziąć ją ciemno na cel, to jest zakryć muszką tak, aby tylko główka była widoczna. Inaczej wymierzony strzał, w pierwszym wypadku się spóźnia, w drugim zaś zwykle dołuje i trafia kuropatwę tylko po zgrzebłach.

Strzały w powyższy sposób wymierzone, o ile mię moja własna praktyka nauczyła, bywają najpewniejsze i redukują na bardzo mały procent wypadki postrzelenia.

(C. d. n.)

KORESPONDENCYE.

Z Warszawy, w kwietniu.

(Nowe prawo o polowaniu. — Towarzystwo łowieckie).

Wedle wiadomości, zasięgniętych u właściwego źródła, nowe prawo o polowaniu, łącznie z przepisami wykonawczymi, uwzględniającymi lokalne stosunki Królestwa Polskiego, ma być z dniem 13. maja w życie wprowadzone. Między innymi przestrzeń, uprawniająca do samodzielnego polowania, która dotychczas na 5 włok (około 84 hekt.) była ograniczona, ma być do 10-u włók podniesioną.

Główne postanowienia nowej ustawy dadzą się streścić jak następuje:

Polować będą mogli wyłącznie ci tylko, którzy się zaopatrzą w świadectwo, kosztujące 3 ruble rocznie; kto takiego świadectwa nie uzyska, bezwarunkowo nie będzie mógł polować. Świadectwa będą wydawane przez naczelników powiatu, na prośbę wniesioną piśmiennie lub ustnie. Świadectwo, po upływie roku od daty, traci wartość. Nieletnim do lat 17-tu, świadectwa będą wydawane jedynie na prośbę rodziców lub opiekunów. Nie mogą uzyskać świadectwa: pozostający pod nadzorem policyi i karani za naruszenie przepisów o polowaniu, wreszcie karani za kradzież drzewa. Wolni są od opłaty za świadectwa: leśnicy rządowi, straż leśna i służba myśliwska, o ile ta ostatnia złoży świadectwo właściciela majątku, poświadczającego ich charakter służby myśliwskiej. W czasie polowania każdy myśliwy jest obowiązany mieć przy sobie świadectwo i okazać je na żądanie policyi lub służby leśnej, t. j. leśniczych rządowych, stróżów polowych lub dozorców polowań, na mocy upoważnień, wydanych przez gubernatorów lub też towarzystwa rolnicze albo myśliwskie. Poprzednio wymienione osoby mają prawo spisać protokół o naruszeniu przepisów o polowaniu, a taki protokół nie potrzebuje być podpisany przez dwóch świadków. Protokół posyła się policyi, która sama od siebie jest obowiązana wnieść skargę do sądu i skargę tę w sądzie popierać.

Art. 17-ty zakazuje polowania: a) Bezwarunkowo przez cały rok na żubry, oraz na klempy, (samice łosiów), łanie i sarny, oraz na przychówek zwierząt tych po koniec roku, w którym się rozplenił; b) na łosie od 1 (13) grudnia do 15 (27) września; c) na jelenie od 1 (13) marca do 15 (27) lipca; d) na kozły od 1 (13) listopada do 1 (13) czerwca; e) na kozy górskie od 1 (13) marca do 15 (27) lipca; f) na koguty głuszców i cietrzewi od 15 (27) maja do 15 (27) lipca; g) na kwiczoły od 1 (13) czerwca do 15 (27) lipca; h) na gęsi i łabędzie od 1 (13) maja do 29 czerwca (11 lipca; i) na kaczory od 1 (13 czerwca do 11 (23) lipca; j) na kaczki wszelkich gatunków, na bekasy, dubelty, chruściele, czajki i inne ptactwo wodne i błotne od 1 (13) marca do 29 czerwca (11 lipca); k) na kuropatwy szare i czerwone

od 1 (13) grudnia do 1 (13) października: l) na bażanty i zające od 1 (13) lutego do 1 (13) września; m) na samice, głuszców i cietrzewi, na jarząbki, białe kuropatwy i przepiórki od 1 (13) marca do 15 (27 lipca); (polowanie z siecią na samce przepiórek jest dozwolone od 1 (13) maja do 15 (27) lipca); n) na wszelką inną zwierzynę i ptactwo, oprócz drapieżnych, od 1 (13) marca do 29 czerwca (11 lipca).

Bezwarunkowo nie wolno polować z psami gończymi od 1 (13) marca do 29 czerwca (11 lipca).

Wedle art. 18, nie wolno łapać na wnyki, sidła, pętle, samołówki: głuszców, cietrzewi, jarząbków, kuropatw, kwiczołów, bażantów, sarn, oraz nie wolno wybierać jaj i pisklął z gniazd lub psuć gniazd jakichkolwiek ptaków, z wyjątkiem drapieżnych.

Zwierzęta i ptaki drapieżne wolno tępić wszelkimi sposobami. Do zwierząt drapieżnych prawo zalicza: niedźwiedzia, wilka, lisa, szakala, borsuka, lisa białego, tchórza, łasicę, wydrę, gronostaja, kunę, rosomaka, rysia i popielicę; do ptaków drapieżnych: orła, birkuta, sokoła, białozora, wszelkie jastrzębie, srokę, wronę, kawkę, sójkę, orzechówkę, puhacza, sowę i wróble.

Po upływie dni dziesięciu od terminu, od którego zakazane jest polo anie na dane zwierzę lub danego ptaka, pod grozą kary, nie wolno nietylko sprzedawać, ale i kupować takiego zwierzęcia i ptaka.

Za samowolne polowanie na cudzym gruncie, winny ulega karze od 5-u do 25-u rubli. Kara ta może być podwyższona do 50-u rubli za polowanie w zwierzyńcach lub lub ogrodzonych parkach lub łąkach i polach, z których nie sprzątnięto siana lub zboża. Winny polowania bez świadectwa, lub ten, kto się dopuści zniszczenia gniazda, wybrania jajek lub pisklął, podlega karze od 5-u do 25-u rubli. Za polowanie za obcem świadectwem, za polowanie na zwierzynę, której w danej porze nie wolno zabijać, wreszcie za polowanie zakazanymi sposobami, winny ulega karze od 10-u do 100-u rubli. Sieci, pętle i t. p. ulegają konfiskacie. Kto nie okaże świadectwa na prawo polowania osobom, które mają prawo o to się zapytać, ulega karze do 5-u rub. Za roznoszenie, rozwożenie, za sprzedaż lub za kupowanie zwierzyny w czasie zakazanym, winny ulegnie za każdego znalezionego u niego łosia, jelenia lub kozła po 25 rub., za sztukę z każdej innej zwierzyny karze 1 rub. W razie recydywy, kara podwaja się.

Człowieka, spotkanego na polach lub w lasach (po za obrębem dróg) z bronią w ręku lub z narzędziem do polowania (siecią, pętlą i t. p.) — uważa się za polującego.

Kary, ściągane od skazanych za naruszenie przepisów o polowaniu, będą obracane na wzmocnienie nadzoru nad polowaniem.

Takie są główne postanowienia nowego prawa o polowaniu.

Oddział Warszawski Towarzystwa racyonalnego polowania, odbył w d. 3 marca ogólne zgromadzenie. Głównym przedmiotem toczonych na niem rozpraw, było wyszukanie środków, celem poskromienia kłusownictwa, które u nas bardzo grasuje. W tym celu przyjęto dodatkowe postanowienie do statutu Towarzystwa, następującej treści: „W wypadkach jawnego przekroczenia obowiązujących przepisów o polowaniu, członkom Towarzystwa przysługuje prawo żądania pomocy władzy policyjnej i sporządzania protokołów przeciwko winnym, celem pociągnięcia ich do odpowiedzialności sądowej, na zasadzie ustawy o karach, wymierzanych przez sędziów pokoju“.

Projekt tej zmiany statatów przesłano głównemu zarządowi Towarzystwa do zatwierdzenia.

W myśl powyższego wniosku, będzie mógł członek Towarzystwa w razie schwytania szkodnika na gorącym uczynku, wezwać na świadka strażnika, wójta lub sołtysa, poczem sporządzony protokół odesłanym zostanie do sądu gminnego. Na tem wszakże skończy się rola członka Towarzystwa, gdyż na sprawę sądową, w charakterze świadka, udawać się już będzie jedynie przedstawiciel władz policyjnych.

Zgodnie z proponowaną zmianą mieliby członkowie Towarzystwa także prawo i obowiązek wykonywania kontroli nad handlem zwierzyną na targach warszawskich i w danym razie czynnej interwencyi, o ile handel ten narusza przepisy o ochronie zwierzyny i wyrządza krzywdę prawidłowej hodowli.

Towarzystwo łowieckie rozszerzyło w roku ubiegłym obszar, wydzierżawiany do polowania dla swych członków. Terytorya te mieszczą się w trzech punktach: pod Białą, pod Łowiczem i pod Modlinem; w obu ostatnich miejscowościach zajmują po 19 wsi.

Zaostrzona w skutek starań Towarzystwa kontrola dała ten rezultat, że w ciągu 15-tu miesięcy (do 1-go stycznia r. b.,) skonfiskowano bezprawnym posiadaczom 4.000 strzelb i zniszczono je w składzie artyleryi.

Do Towarzystwa przystąpiło w ostatnim roku 52 nowych członków, przeważnie właścicieli ziemskich. *W.*

Gródek na Litwie, w marcu.

(Kszyk w zimie. — Polowanie na wilka w nocy).

Jeden z naszych myśliwych w Gródku, szedł jeziorem na upatrzonego zająca; przechodzi blisko oparzeliska, gdzie nie zamarza, a tu zrywa się ptak. Strzelił i podjął... kszyka. Bardzo był chudy i dziwna, jakim sposobem zjawił się tu na Litwie, w takie duże mrozy, bo było po 20 stopni i więcej, a do tego wielkie śniegi i zawierzuchy. Było to dnia 22 stycznia starego stylu.

Podam jeszcze wiadomość o szczególnem polowaniu w nocy z psem na wilki.

W naszym kraju polują zazwyczaj w nocy z prosiakiem, ale to się nie udaje. Opowiadają bajki, że nibyto napadają wilcy na tych, co jadą z prosiakiem i że bywały wypadki rozdzierania koni i myśliwych — ale ja jeździłem z prosiakiem, i nigdy mi się nie zdarzyło choćby widzieć wilka z daleka.

Inna rzecz z psem.

Zauważyłem ja, że jeśli włościanie gdzie jadą, a za nimi biegnie ich kundel, wilcy go zawsze chwycą i rozerwą, a gospodarz psa swego nie obroni i sam ucieka wystraszony. Zauważywszy to, naszykowałem saneczki niewywrotne, od kosy szerokie i długie, konia spokojnego, co nie lęka się niczego a przyzwyczajony do strzału, i kazałem krok za krokiem jechać. Wybrałem się tak jednego wieczora, wziąwszy ze sobą objeszczyka leśnego, a psa gończego uwiązałem na długim mocnym sznurze, najmniej na sześć łokci, do sanek z tyłu. Furman trzeci koniem kierował, z flintą pojedynką na ramieniu. Ja miałem Bekierówkę dobrą, lotkami nabitą, a objeszczyk dubeltówkę pistonową. Wyjechaliśmy o godzinie ósmej wieczór. Jechaliśmy długi czas, aż nareszcie uważam na psa, coś niespokojny, ogląda się często. Spoglądamy na wszystkie strony, nic nie widać: las z jednej strony traktu dużego i z drugiej. Jedziemy dalej i wkrótce zwracamy na inną drożkę mniejszą, bo wiemy, że tam dobry przesmyk.

Ledwieśmy trochę ujechali, aż widzim na drodze, jakby pień, a wiemy dobrze, że nie ma tu pnia. Zaczęły nam serca bić z emocyi, — jedziemy dalej, do tego mniemanego pnia, aż on schodzi z drogi na bok, siadł bardzo blisko i spogląda na psa. Pies coraz to niespokojniejszy, ciągle się kręci i ogląda a warczy. Podjechaliśmy do wilka na 12 kroków, a ta bestya siedzi i obserwuje psa, kiedy ma już chwycić. Ja zniecierpliwiony, głośno krzyknąłem: „Stój!“ i w tej chwili strzeliliśmy razem z czterech luf..

Ze dwie sekundy robił wilk młynka na jednem miejscu, ale potem poszedł dość prędko. Furman z objeszczykiem wyskakują z sanek, mnie zostawiając z koniem i psem: pobiegli na miejsce, gdzie wilka strzelono, pozapalali zapałki, przypatrują się i mówią, co dużo farby i jeszcze coś... Poszli oba za nim do lasu, zabawili się z dwadzieścia minut, ale wracają bez niczego i mówią, że gdzie biegł, wszędzie dużo farby, ale nie mogli zgadnąć, gdzie trafiony. Więc nie ma co robić, źliśmy, że bestya basior na miejscu nie został, ale pocieszywszy się, że go jutro znajdziemy, wróciliśmy do domu.

Nazajutrz pojechaliśmy na to samo miejsce; widziałem tam dużo farby, a po tropach znać było złamaną nogę w szynce tylnej. Dwóch ludzi poszło za śladem wilczym, choćby do wieczora, a nas dwóch chodzimy, przypatrujem się i widzimy, że ten basior nie jeden był, lecz było ich jeszcze siedmiu i szli za nami tegoż wieczora z sześćset kroków.

Tamci dwaj strzelcy wrócili wieczorem z niczem. Dopiero w miesiąc znaleziono wilka już zepsutego.

Andrzej Popowicz.

Sprawozdania łowieckie.

Z Galicyi.

— W Krukienicach padło w ciągu ubiegłego roku: 9 rogaczy, 27 zajęcy, 19 kuropatw, 8 przepiórek, 91 chruścieli, 31 słonek, 14 dubeltów, 169 kszyków, 23 kaczek, 15 kulonów i kulików, 12 dzików, 9 lisów, 18 jastrzębi, 30 wron, 35 srok, 10 sów, 11 psów i 10 kotów.

Dziki polowe, — a było ich sztuk dziewięć — które w polu i niskich jedno- i dwuletnich zapustach legały, robiły takie spustoszenia w polach, że 100 sztuk lasowych dzików tego nie zrobi. Dzików stałych było 9, reszta przychodząca, a w tych stadach nie było ani jednego warchlaka. Na zabitych 12 sztuk, było 8 ogromnych odyńców, a 4 maciorki dwulatki, z tych dwie nieprośne. Dziki te, oprócz pól chłopskich, skarbowi krukienickiemu ogromne wyrządziły szkody; 12 morgów pszenicy tak zryły i zjadły, że nie było co żąć, a 50 morgów kartofli do połowy, pomimo że łan od lasu był potrójnym drutem telegraficznym obwiedziony i dwóch ludzi co noc czuwało. Zrytych kartofli nie można było z powodu słoty poprawiać, a jakie było spustoszenie, dość powiedzieć, że jednej nocy, już w jesieni, gdy się wpakowały w kartofle, to rano po wierzchu nazbierano 35 korcy kartofli.

Sarn u nas dosyć, lecz zajęcy, których prawie nie strzelamy i kuropatw, bardzo mało. Zima przeszła prawie je wyniszczyła. Przeszłej jesieni zostawiliśmy 80 sztuk kuropatw, z których, pomimo że żer podawano i w polach miały sterty, zaledwie kilka par przezimowało. Na wiosnę, w jednej z remiz świerkowych, na jamach starego szutrowiska zasadzonych, znalazłem pod świerkiem, w zamieci śnieżnej 4 sztuki kuropatw, resztę prawdopodobnie lisy zjadły, jak o tem świadczyły pióra.

Jak w roku zeszłym, tak i w tym była u nas masa lisów w jesieni i w zimie, dopóki były małe śniegi. Lisy te miały żer z kilkunastu koni, zabitych w lesie, a straż lasowa, tropiąc dziki, w dzień nawet po parę lisów przy padlinie widziała. Gdy jednak spadły duże śniegi, ani jednego śladu lisiego przez blisko 14 dni nie widziano. Gdzież się nagle podziały? Z tutejszych i sąsiednich rewirów do 60 lisów od razu wywędrować nie mogło, tem bardziej, że gdy po pierwszej odwilży mróz chwycił i lis mógł wygodnie wierzchem śniegu chodzić, pojawiły się lisy zaraz w dość znacznej liczbie. Widocznie więc siedziały przez czas wielkich śniegów w jamach, gdzie i po parę tygodni przebywają, nie wychylając się na świat. *Jan Ostrzechowski.*

— Z Radłowa. Najmniej może sprawozdań wpływa z okolic naszych, z tego też powodu czuję się w obowiązku zrobienia relacyi, a może niejeden z czytelników naszego pisma ciekawym będzie powziąść wiadomość o zwierzostanie i wynikach tutejszych polowań.

Dobra Radłów przeszły z dniem 23. października 1891 r. na własność Dr. Maurycego Straszewskiego, który wziął pod staranną opiekę zwierzostan lasów do dóbr należących, polecając zarządowi największą oględność w polowaniach, przeto tylko część rewirów była w tym roku spolowaną, większa zaś część pozostała nieruszoną.

Przez całą zimę sarny karmione były kupną koniczyną, folwarki bowiem objął nowonabywca wszystkie wydzierżawione; lizawek nie urządzano z przyczyn, iż rewiry są nader ubogie w wodę źródlaną i ogółem w wodę. Stan sarn pod każdym względem świetnym nazwać można. Cyfrowo niepodobna go oznaczyć, zawsze atoli bez przesady przyjąć można, że na ogólnej przestrzeni lasów około 6.000 morgów od 800 do 1000 sztuk sarn się znajduje, i gdyby nie mnogość lisów, które tu się rozwielmożniły i niewątpliwie mocno na ogólny zwierzostan wpływają, byłby ogólny zwierzostan świetniejszy.

Zajęcy ogółem mniej było niż po inne lata, bo wiosna i mokre lato wyniszczyły młodzież, a znana przytem nieczułość matek dla swojego płodu, przyczynia się mocno do wyginięcia szaraczków w stanie jeszcze niejako niemowlęcem będących. Mimo niekorzystnych tych warunków nie zauważano żadnej epidemii między tymi baletnikami (jak je p. Jan Skrzypek nazywa) wszystkie upolowane były zdrowe i dobrze odżywione. Polowań większych nie urządzano, wyjąwszy 21. grudnia, na którym w 12 strzelb znalazło się na rozkładzie 9 rogaczy 3 lisy (parę uszło silnie postrzelonych) i 57 zajęcy.

Ogólny rezultat polowań zimowych był następujący: 32 rogaczy, 197 zajęcy, 26 lisów, 3 borsuki, 10 psów, 22 koty, 8 jastrzębi, 20 wron i srok, 7 dzikich kaczek, ogółem 325 sztuk. Pod poprzednim zarządem ordynacyi hr. Zamojskich, o ile zdołano od straży lasowej i polowej zasiągnąć wiadomości, mogło być ubitych około 10 rogaczy, 50—60 zajęcy, 100—120 kaczek krzyżówek i cyranek, i około 100 sztuk różnego błotnego ptactwa.

Kłusownictwo prześladujemy wszelkimi możebnymi sposobami, a największą ku temu zachętą, że właścicel obecny wypłaca 10 zł. od przychwyconego na uczynku kłusownika. W ciągu zimy przychwycono tylko trzech i oddano sądowi do ukarania.

O jednym rzadkim w łowiectwie wypadku mam jeszcze do powiedzenia. P. Karol Scherantz, leśniczy, będąc w rewirze Wał Ruda, zoczył w rudlu sarn kozę z rogami i tę kulą położył. Zarząd dóbr nie omieszkał wysłać ten w swym rodzaju rzadki egzemplarz do muzeum imienia hr. Dzieduszyckich, gdzie została wypchaną i do okazów muzealnych włączoną.

Okolica Radłowa, o ile wiadomości zasięgnąłem, jest dla miłośnika polowań błotnych i wodnych istnem eldorado, gdyż na dość znacznych jeziorkach widziano już w późnej jesieni stada kaczek do 2000 sztuk nagromadzonych, a zostawały też na oparzeliskach, tak, że ich jeszcze w lutym znaczne ilości widziano. *L. D.*

— W lasach Hruszowskich, w czasie zimowych polowań tegorocznych, ubito: dzików 8, rogaczy 20, zajęcy 45, lisów 7, kunę 1, jarząbka jednego. Jesienią borsuków 6.

Stan zwierzyny w r. 1887, w lasach Hruszowa, był bardzo mierny. Zaledwie można było liczyć 40 sarn, zając w polu rzadkiem był zjawiskiem. Dziś zaś, przy umiejętnem szanowaniu i żywieniu sarn w zimie koniczem, doczekaliśmy się pocieszających skutków, gdyż mamy z pewnością przeszło sto sztuk sarn, a zakładanie remiz w polu przyczyniło się bardzo do rozmnoży zajęcy.

Ciąg słonek w naszych stronach bardzo ładnie się rozpoczął. Już 28. marca były strzelane na ciągu.

Władysław Bobrownicki.

Z Królestwa polskiego.

— W lasach Lubartowskich, (gub. Lubelska), w ciągu minionego sezonu, odbyły się dwa polowania: pierwsze d. 28 i 29. grudnia r. z. na gruntach folwarku Wincentów i w obrębach Posok i Niżnik, które dało na rozkładzie 45 zajęcy, 2 lisy, 1 rogacza i 1 kuropatwę, na 193 strzałów. Drugie, dnia 14. lutego r. b., w obrębie Krupy, które dało 21 zajęcy i 1 rogacza na 89 strzałów. Rogacz zabity został kulą z dubeltówki gładkiej na 103 kroków, przez p. M. Jurkiewicza. I na pierwszem i na drugiem polowaniu widziano sporo sarn, lecz przeważnie bokami wychodziły. W stanie zajęcy przyrost widoczny. *B. R. G.*

KRONIKA.

Wystawę psów urządza austryackie Towarzystwa hodowli psów w Wiedniu w czasie od 10. do włącznie 22. maja b. r. Wystawa będzie międzynarodową i urządzoną zostanie na należącym do c. k. Towarzystwa rolniczego placu wystawowym w Praterze. Bliższych informacyj udziela Sekretaryat austr. Towarzystwa hodowli psów w Wiedniu, I. Herrengasse 4. W ciągu wystawy urządzane będą także próby z jamnikami, foksterrierami i gonitwy psów zbytkowych.

W Petersburgu odbyła się w marcu, staraniem tamtejszego Towarzystwa miłośników psów, wystawa psów wszelkich ras, połączona z wystawą koni i przedmiotów myśliwskich.

W Michajłowskim maneżu pobudowano drewniane klatki, w których na pościeli z mat słomianych prezentowały się psy, uwiązane na łańcuchach; charty tylko, należące do jednej psiarni, leżały razem jak w psiarniach angielskich. Wystawione psy były rozdzielone na dwa wielkie oddziały, na psy myśliwskie, oraz podwórzowe i pokojowe. W grupie wyżłów najwięcej było setterów. Pomiędzy pointerami panował głównie typ dużych pointerów angielskich z bardzo małą rozmaitością maści, gdyż były tylko kasztanowato srokate i tarantowate, oraz żółto-srokate i tarantowate. Kilka wysokiej krwi kasztanowato-srokatych z małą przymieszką café-au-lait zostało premiowanych. W sekcyi setterów najwyższe nagrody otrzymały settery, pochodzące wprost od psów importowanych z Anglii, mające sierć białą z czarnymi łatami, drobnymi czarnymi centkami i z domieszką plam żółtych, a więc właściwie maści troistej. Oprócz tego były reprezentowane „Gordony“, settery irlandzkie, sz piele mało z ogromnymi uszami i dużym włosem i jedna suka mało znanej odmiany „Retrever“, podobna do prostej owcy, z małym łbem, uszami cała pokryta siercią tak pokręconą jak na baranku.

Między gończakami najciekawszym był okaz rasy św. Huberta, żółty ogar z czarnym grzbietem, z monstrualnymi, ciężkimi uszami i obficie sfałdowaną skórą na łbie. Jamniki były przeważnie czarne podżare. Z gubernii Wiackiej i Ołonieckiej wystawiono bardzo ciekawe psy, używane na niedźwiedzia, t. z. „łajki“. Maść ich wilczato-stalowa, miara średnia, psy bystre i cięte, a przytem bardzo przyjacielskie; przebiegłość i odwaga strzela im z ładnych, ciemnych oczu. Zdaje się, że także na dziki i wilki bardzo przydatne. Sprzedawano je po 50 rubli za sztukę. Chartów było ze czterdzieści, przeważnie sfory W. ks. Piotra Mikołajewicza.

Psy, które otrzymały nagrodę, mają jeszcze odbyć konkurs w polu, który Towarzystwo w lecie urządza, podobnie jak t. z. „field-trials“ dla chartów i łajek, z nagrodami za szybkość biegu przy szczuciu zająca i za ciętość przy atakowaniu wilka.

W oddziale psów podwórzowych prezentowały się okazałe „Bernardyny“, Lohenbergery, psy pyrenejskie, nowofundlandczyki, dogi duńskie i dalmackie i jeden Ulmer. Dużo klatek napełniały terriery, a mianowicie fox-terriery, black-and-ten, toy-terriery, bull-terriery i reff-terriery, oraz kilka buldogów, pudli i szpiców.

Rozdano mnóstwo nagród między te wszystkie okazy psiego rodu. Oprócz medali srebrnych, wielkich i małych, medali bronzowych i listów pochwalnych, były także dodawane do wielkich srebrnych medali premie w postaci srebrnych serwisów z pamiątkowymi napisami.

Reszta wystawy była bardzo uboga. Koni do polowania par force i stepowych wystawiono tylko dziesięć. Zresztą wisiało kilka skórzanych kurtek szwedzkich, kilka par butów do polowania, kilka łódek, kilka namiotów płóciennych i trochę wypchanych zwierząt łownych i ptaków. Jakiś myśliwy, który zachował incognito, przysłał 16, wyraźnie: szesnaście przepysznych skór niedźwiedzich, które upolował tej zimy w ciągu dni 14, używając broni systemu „Paradox“, przydatnej tak do śrutu jak i do kul. Skóry te dane były przez owego myśliwego na korzyść głodem dotkniętych gubernii i sprzedano je po 40 do 400 rubli. Strzelb, torb, kordelasów itp. przyborów myśliwskich nie było wcale. Wystawę zamknięto d. 22. marca.

Największym psem na świecie ma być będący w Nowym Jorku pies, z rasy psów z góry św. Bernarda, „lord Bute“, który jest na metr wysoki a waży 124 kilogramów. Nazywają go słoniem psiego rodu. Na 26 wystawach zyskał on za swe rozmiary pierwszą nagrodę, a 19.000 dolarów dał za niego bogaty Amerykanin, który jest obecnie jego właścicielem.

Ogromny odyniec padł tej zimy w Popieluchach na Podolu, gdzie dzików zazwyczaj nie ma. Ważył 483 funtów.

Na pochwałę i naśladownictwo zasługuje zarządzenie wyższego c. k. sądu krajowego w Gracu w Styryi. Nakazał on sądom powiatowym, ażeby o terminach licytacyjnych na sprzedaż broni, odebranej nieuprawnionym do polowania, uwiadamiały styryjskie Towarzystwo łowieckie, i za pośrednictwem tegoż dawały możność myśliwym do ubiegania się o nabycie tej broni. Tym sposobem najłatwiej zapobiedz nadużyciom, które stąd powstają, że broń tego rodzaju zakupywać zwykli za bezcen podejrzani pośrednicy, którzy ją drugą rękę natychmiast znów kłusownikom odsprzedają. Sądy mają przytem żądać od licytującego, aby się wykazał kartą na broń. Powtarzamy z naciskiem — i to pod adresem naszych sądów — iż to zarządzenie godne pochwały i naśladownictwa.

Manewry wojskowe i łowiectwo. W Hessyi przyszło niedawno do sądowego rozstrzygnięcia, czy właściciel prawa polowania ponosi szkodę przez urządzanie hałaśliwych manewrów wojskowych. Powód dali do tego dzierżawcy polowania, którzy zarówno z rolnikami domagali się od administracyi wojskowej odszkodowania za zwierzynę, którą im manewry kawalerzyckie w wielkim stylu na cztery wiatry porozpędzały

Niektórzy dzierżawcy większych kompleksów łowieckich liczyli sobie do 10.000 marek straty, spowodowanej przez ubytek zwierzyny. Administracya wojskowa oddaliła ich jednak z wszelkimi ich żądaniami i tymi słowy uzasadniła odmowę: „Prawo polowania nie polega na własności pewnych zwierząt łownych, ani na roszczeniu do spokojnego utrzymania pewnego stanu zwierzyny, ani też na uprawnieniu do zakazywania takich czynności, któreby mogły do zmniejszenia stanu zwierzyny się przyczynić — lecz jest ono jedynie wyłącznem prawem do poszukiwania i przywłaszczania sobie zwierzyny na pewnym obszarze“.

Wiwat militaryzm pruski! Z zasadami i prawnymi pojęciami jego można zajechać wprost do wygubienia wszelkiej zwierzyny łownej.

Niedźwiadek spacerujący znalazł się ostatnimi dniami na ulicach Wiednia. Wymknął on się niespostrzeżenie z cyrku Szumana na Mariahilf i pomaszerował prosto ku miastu. Dopiero w chwilę potem spostrzeżono jego ucieczkę i zatrzymano go na ulicy Mariahilf. Potulny myś nie stawiał oporu i poszedł spokojnie pod klucz.

Złodziejka zwierzyny. O kradzież zwierzyny oskarzona została niedawno w Anglii księżna Marlborough. Pani ta w zapale myśliwskim zabiła bażanta po za granicami swej posiadłości. W Anglii są dość surowo karane tego rodzaju wykroczenia, mimo to księżnę uwolniono, ponieważ prawo angielskie przewiduje karę tylko na złodziejów zwierzyny, nic zaś nie wspomina o złodziejkach.

Polowanie na wieloryba. Przygotowania do wycieczki myśliwskiej cesarza Wilhelma na wody północne, zostały już ukończone przez znanego łowca wielorybów, Gievera, któremu powierzono urządzenie całej wyprawy. Ponieważ jacht Hohenzollern, zazwyczaj używany do wycieczek po morzach północnych, jest cokolwiek za wielki, cesarz, udając się na polowanie, będzie musiał przesiadać się do łodzi rybackiej Gievera. Łódź ta jednak urządzona jest najzupełniej podług wymagań tegoczesnych i zaopatrzona w motor parowy, wyrzucanie więc harpunów z pomocą odpowiedniego przyrządu nie będzie w tym razie połączone z niebezpieczeństwem, na jakie zazwyczaj narażają się poszukiwacze wielorybów. Myśliwi często zbliżają się do wieloryba w małem czółnie i rzucają ręcznym harpunem lub lancą, przyczem niejednokrotnie narażeni są na utratę życia. O tem przy polowaniach cesarskich nie może być mowy. Przy harpunie Gievera znajduje się ładunek prochu, który w danej chwili eksploduje i czyni wieloryba nieszkodliwym.

Manifest ptaków. Krajowe Towarzystwo ochrony zwierząt w Budapeszcie, ogłasza w formie manifestu ptaków następującą odezwę:

„Powróciwszy z dalekich, obcych krajów do naszej starej, ukochanej ojczyzny, i zająwszy w lasach i na polach, w miastach i po wsiach nasze dawne mieszkania — zamierzamy założyć tu nasze domowe ogniska, prowadzić życie spokojne i wesołe. Siebie i potomstwo nasze oddajemy pod potężną opiekę człowieka i ufamy, iż zarówno wielcy jak mali, zarówno starzy jak młodzi ludzie, nie będą nam wyrządzać żadnej szkody na ciele i na życiu, ani nas nie pozbawią naszego najdroższego dobra: wolności. Przedewszystkiem prosimy jak najuprzejmiej i najusilniej, ażeby nie psuto nam naszych z wielkim mozołem zbudowanych gniazd, aby nie wybierano z nich jaj, aby młode pisklęta pozostawiano naszej pieczy i aby wszyscy zawsze nas za swych dobrych przyjaciół uważali. My natomiast obowiązujemy się wesołem podskakiwaniem, fruwaniem, lataniem, ćwierkaniem i śpiewaniem przysparzać wam zabawy i sprawiać wam przyjemność, przyrzekamy wyławiać z drzew i krzaków, z ziół i kwiatów, z pól i zwierząt wszystkie pasożyty, tak, iż lasy i pola, ogrody i gaje pięknie rozwijać się będą i stworzona przez Boga przyroda radować będzie ludzi cudami swej piękności.

Dan na wiecu naszym w dolinie górskiej w czasie Wielkiejnocy 1892 roku.

W imieniu wiecu: *Bocian, Skowronek, Słowik, Jaskółka*“.

Tępienie wróbli, z powodu niesłychanego rozmnożenia się tych ptaków i szkód przez nie wyrządzanych, przeprowadzane jest z polecenia władzy w niektórych Stanach Ameryki. Gdzieniegdzie płacą nawet premie małe za głowę wróbla, tak się już dał Amerykanom we znaki ten ptak przez Europejczyków tam dopiero sprowadzony.

Gramatyka kur. Uczony amerykański, Garner, ogłaszając swe studya nad mową małp, które obserwował w lasach afrykańskich, stworzył nową naukę. Idąc za jego przykładem, Francuz, Ludwik Prevot de Haudray, zaczął badać gdakanie kogutów, kur i kurcząt. P. Prévot de Haudray korzysta z metody wynalezionej przez Garnera. W środku klatki, zajętej przez liczne stado kur, umieścił fonograf, który utrwala każdy dźwięk głosu ptactwa. P. Prévot de Haudray prawdopodobnie odkrył już tajemnice kurzej gramatyki, zamierza bowiem rezultaty badań przedstawić wkrótce akademii umiejętności.

Uprasza się szanownych członków gal. Towarzystwa łowieckiego, którzy jeszcze nie wnieśli wkładki za rok bieżący, a nie otrzymali dotąd kwitu Towarzystwa za pobraniem, ażeby ją raczyli na ręce Sekretaryatu Towarzystwa jak najprędzej uiścić.

Pojedyncze numera „Łowca“ nabyć można po cenie 50 ct. w. a. za numer w handlu broni p. Alfreda Dzikowskiego we Lwowie ulica Karola Ludwika L. 1.

Sekretarz i Skarbnik gal. Towarzystwa łowieckiego **Władysław Zontak** ulica Teatralna 18.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor **Juliusz Starkel** plac Halicki 10.

Z drukarni Pillera i Sp. we Lwowie.